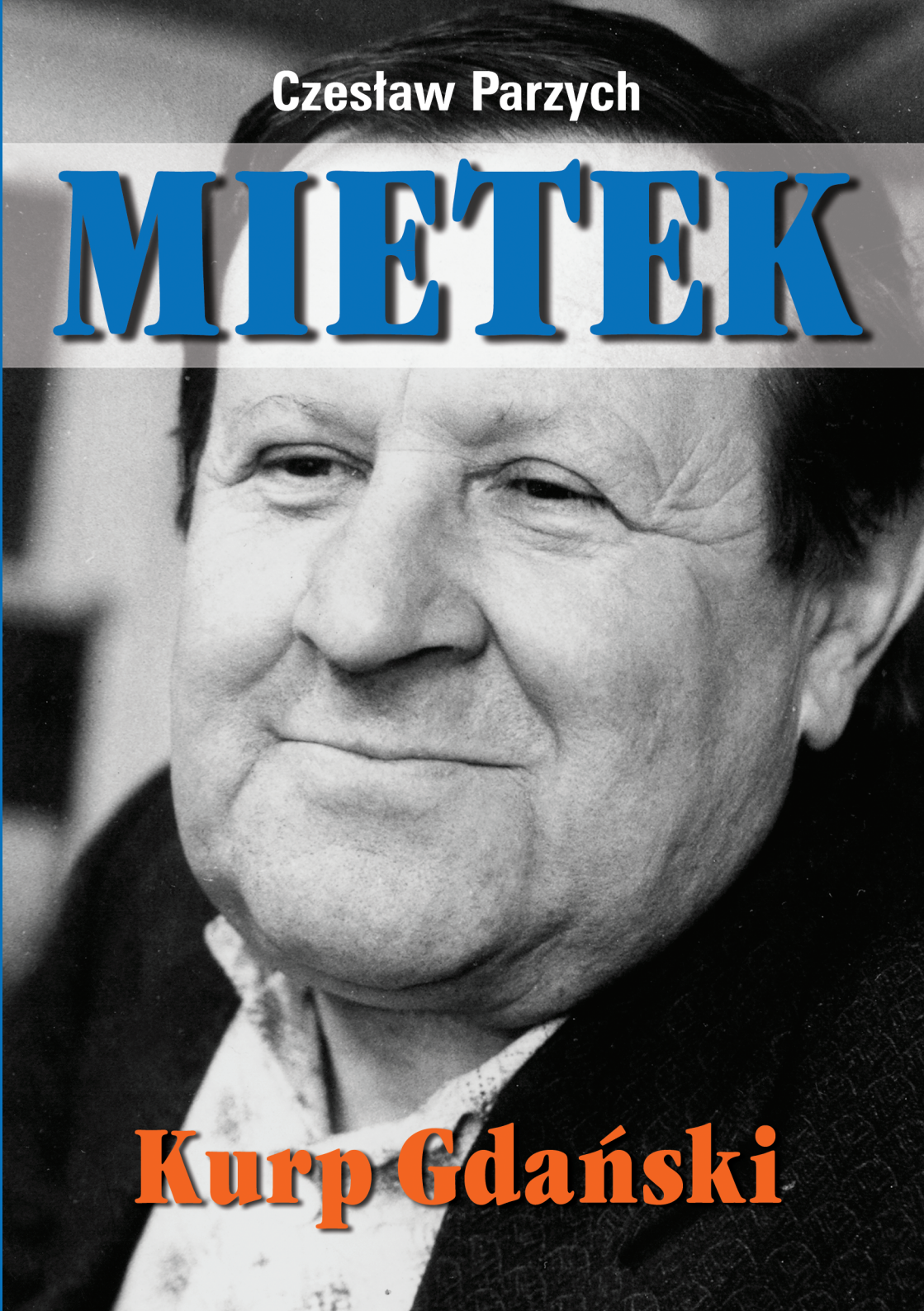


A black and white portrait of an elderly man, Czesław Parzych, with a serious expression. He has dark hair and is wearing a dark jacket over a light-colored shirt. The background is blurred.

Czesław Parzych

MIETEK

Kurp Gdański

MIETEK

Czesław Parzych

MIETEK

Kurp Gdański

W osiemdziesiątą rocznicę urodzin
Mieczysława Czychowskiego



TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ OSTROŁĘKI

Wydawca
Towarzystwo Przyjaciół Ostrołęki
Ostrołęka 2011

Redaktor wydania
Jadwiga Nowicka

Redakcja techniczna i opracowanie graficzne
Tomasz Kalinowski

Korekta
Adam Parzych

Zdjęcia ze zbiorów rodzinnych Zofii Sagalskiej i Czesława Parzycha

116. publikacja Towarzystwa Przyjaciół Ostrołęki

Wydanie publikacji sfinansowała rodzina Mieczysława Czychowskiego

Nakład 350 egz.

ISBN 978-83-88169-72-4

Druk
Drukarnia Gnatowski, Ostrołęka

*Tu wciąż się zabliźniają rany
cięte, klute i szarpane.
W bliznach zostaje stara pamięć:
wiara nas w śmierci godzi z Panem.*

Pisał w wierszu „Dom” Mieczysław Czychowski – poeta z potrzeby serca, malarz i rzeźbiarz z profesji. Bo ten dom, dom rodzinny w Dzbeninie Starym koło Ostrołęki, był mu zawsze ostoją. Tu wracał z dalekiego Gdańska, gdzie skończył studia i gdzie spędził swe dorosłe lata, tu malował kurpiowskie pejzaże i pisał wiersze, zabliźniając wszystkie swe rany, jakie zadawało mu życie.

W tych bliznach pozostała jego pamięć. I pamięć o nim. A dom rodzinny był mu również miejscem ostatniego pożegnania, stąd bowiem wyruszał w swą podróż na rzekunski cmentarz.



Józef Mieczysław Czychowski – Kurp Gdański, jak sam siebie chętnie nazywał – Mietek, dla najbliższych i przyjaciół, bo zawsze używał tylko drugiego imienia, urodził się 26 maja

1931 roku w Dzbeninie Starym – wsi malowniczo położonej nad Narwią, w setną rocznicę bitwy ostrołęckiej, która miała tu miejsce w okresie powstania listopadowego. Mietek – tak zwracałem się do niego i ja, jako do przyjaciela – bardzo cenił sobie to zrządzenie losu i wpisanie jego urodzin w datę tak historycznie znaczącą dla Ostrołęki i dla całego naszego kraju. Tak bardzo ważną z punktu widzenia patriotyczno – niepodległościowego w dziejach naszego narodu. Toteż wydarzenie to przyjmował jako swego rodzaju przesłanie i posłannictwo, co nie było bez znaczenia dla jego twórczości poetyckiej, w której tyle wątków głęboko patriotycznych, historycznych.

Kiedyś wyczytałem w średniowiecznych pismach, że imię Miecysław ma niejako dwie, różne od siebie, ścieżki znaczeń:

– Miecysław – męczyzna „słynny mieczem” czyli wojownik, oraz

– Miecysław (bo tak podobno powinno brzmieć to imię, od słowa „miecyć”) czyli zdobywający sławę. Które z tych imiennych zalet jest właściwe dla Czychowskiego? Skorego do walki Miecysława, czy też raczej zdobywającego sławę Miecysława? A może zmieszane w nim były obie te cechy?

W rozmowie ze znawczynią numerologii dowiedziałem się, że Miecysław (zostańmy przy ogólnie przyjętej i używanej formie) to numerologiczna „siódemka”, a „siódemki” żyją z głową w chmurach, dlatego łatwo zachowują dystans do wielu spraw oraz celnie oceniają sytuację. Mają filozoficzny stosunek do świata, dużo czasu spędzają dumając nad sobą i światem właśnie. Nic nie jest dla nich proste, nawet najdrobniejszy szczegół zasługuje na dostrzeżenie i sklasyfikowanie. Wyciąganie logicznych wniosków przychodzi im bez trudu. Gorzej sprawy się mają z umiejętnością wyrażania uczuć. Nie pragną

poklasków i bogactwa, wystarczy im święty spokój, niezbędny do rozmyślania i pracy.

Mieczysław zaś to numerologiczna „dziewiątka” – liczba żarliwych idealistów, którzy uwielbiają błyszczeć w tłumie i mają talent do improwizacji.

Prześledźmy, proszę, życie naszego bohatera Mieczysława – Miecysława, by móc wnioskować, ile i których cech posiadał on najwięcej.

Był Mieczysław synem Stanisława i Wiktorii z Romaników Czychowskich ze Dzbenina. Dom, w którym przyszedł na świat, zbudowany był z ubijanej gliny i jałowca, bardzo ciepły i suchy, ze strychem, będącym dla Mietka – dziecka jeszcze – najciekawszym miejscem, o czym po latach wspominał z rozrzewnieniem. Stał – na sposób kurpiowski – szczytem do drogi, otoczony dużym wiśniowym sadem, zarosłym piołunami. Pełno było w nim uli i pszczelego brzęczenia od wczesnej wiosny. Ojciec, Stanisław, urodzony rolnik, miał gospodarstwo rolne o powierzchni 24 hektarów (ziemię kupili niegdyś dziadkowie Mieczysława, Aleksander i Rozalia Romanikowie z parcelacji gruntów dworu Czarniejewskich).

Obok domu, w którym się urodził przyszły poeta, malarz i rzeźbiarz, stał drugi dom, duży, z bala zbudowany. Mieściła się w nim szkoła. W podwórku, obok budynków gospodarczych, stała niewielka stolarnia, gdzie jego dziadek, Aleksander Romanik, w zimowe dni ule dla pszczoł wyrabiał. Był to – jak Mieczysław go wspominał – chłop na schwał, służbę wojskową w Piotrogradzie odbywał, w kompanii reprezentacyjnej przy carze. Z lat dziecięcych wspominał Mieczysław krzyż drewniany wśród brzoź stojący, na miejscu, gdzie niegdyś rosła sosna bartna, na której w 1863 roku carscy żołnierze powiesili dziesięć

ciu polskich powstańców (obecnie stoi tam krzyż żelazny, ufundowany niegdyś przez Brzostka, brata Romanikowej – babki Mieczysława). Około 1938 roku Czychowscy przenieśli się na kolonię wsi Dzbenin, gdzie ojciec Mieczysława wybudował nowy dom drewniany. W 1944 roku po żniwach Niemcy spalili całą wieś Dzbenin oraz wycięli drzewa i krzewy, by oczyścić przedpole Narwi w celu taktycznych działań bojowych. Spalił się również dom Czychowskich.

Ojciec Mieczysława, Stanisław Czychowski, urodził się 27 sierpnia 1901 roku we wsi Glinki Rafały koło Sypniewa, jako syn Stanisława i Józefy z Kotermańskich. W 1920 roku służył w ciężkiej artylerii jako ładowniczy, szedł z Piłsudskim na Kijów, później był w konnej żandarmerii wojskowej.

28 kwietnia 1938 roku, po wybudowaniu fundamentów pod nowy – wyżej wspomniany – dom, spisał swego rodzaju akt erekcyjny, umieszczony w butelce pod podwaliną, w którym zanotował: *„Fundament założony przez Czychowskiego Stanisława, urodzonego we wsi Glinki Rafały, gmina Sypniewo... Jak pisałem tę kartkę miałem lat 38, żonę mam Wiktorię z Romaników, dwóch synów Czesława i Mieczysława, oraz (córkę) Zosię. Czasy gospodarcze były ciężkie. Wieś Dzbenin w 1936 roku była scalana, przedtem Dzbenin posiadał działki. W czasie scalania byłem soltysem w Dzbeninie. Przeprowadzało się kopanie rowów (melioracyjnych). W mojej obecności była założona organizacja; najpierw Kółko Rolnicze, w którym byłem prezesem, Straż Ogniowa, w której byłem naczelnikiem, Związek Strzelecki, w którym byłem komendantem. W Dzbeninie w tym czasie było 107 gospodarstw, ludności 850 (osób)... Amen”.*

W 1939 roku Stanisław Czychowski – ojciec Mietka – walczył w Korpusie Ochrony Pogranicza w stopniu sierżanta, do-

stał się do niewoli, uciekł z niej i szczęśliwie dotarł do domu do Dzbenina. Wracał razem z Józefem Leonikiem – kierownikiem Szkoły Powszechnej w Ostrołęce i Lenkiewiczem Franciszkiem(?) – weterynarzem, porucznikiem 5 Pułku Ułanów Zasławskich. W czasie okupacji był członkiem Związku Walki Zbrojnej, następnie Armii Krajowej, współpracował z Wacławem Fidrychem – dowódcą plutonu AK Nakły – w ratowaniu jeńców. W ich domu ukrywali się uciekinierzy z robót przymusowych w Niemczech i osoby ukrywające się, zagrożone wywózką. Dom ten stał na skraju lasu, chroniony zakolem rzeki i w czasie okupacji stanowił bezpieczne miejsce dla akowskiej działalności. Mieczysław – chłopiec wówczas zaledwie kilkunastoletni, odwoził codziennie do sołtysa w kance mleko na kontyngent i dowiadywał się, kiedy i u kogo we wsi, w jakim celu byli Niemcy. Informacje, jakie zebrał, przekazywał ojcu. Informacje te zbierał również w samej Ostrołęce: *„Do Ostrołęki chodziłem ze śmietaną do różnych osób, m.in. na ulicę Goworowską, na uliczkę przy klasztorze, gdzie teraz jest pawilon handlowy »Adam« i do innych osób przy różnych ulicach mieszkających, od których otrzymywałem różne informacje, ukryte pod różnymi hasłami, na przykład, żeby ojciec przywiózł kartofle, to znów, że trzonki do szpadli są już gotowe do odbioru i im podobne. Ojciec wiedział, które hasło jakie ma znaczenie i jakie należy podjąć decyzje. A gdy w domu naszym odbywały się tajne zebrania siedzieliśmy z bratem Czeskim na zmianę z lornetką na strychu i obserwowaliśmy drogę i okoliczny teren czy nie zbliżają się Niemcy”* – wspominał Mietek po latach tamten okupacyjny czas, gdy był częstym gościem u mnie w bibliotece ostrołęckiego muzeum.

Po wojnie, w pierwszych burzliwych czasach, 7 lipca 1945 roku, zginął tragicznie (został zastrzelony) Stanisław Czy-

chowski, ojciec Mieczysława, w okolicznościach do dziś nie wyjaśnionych. Był to trudny i bardzo niespokojny czas. Często „leśni” udawali ubowców, ubowcy – „leśnych”, dodatkowo grasowały najzwyklejsze bandy. Trudno orzec, kto i dlaczego to uczynił.

Krystyna Nowak, mieszkająca po wojnie w Mragowie, w swym oświadczeniu z 30 marca 1970 (? – ostatnia cyfra za-tarta) roku stwierdziła: „*Ja Krystyna Nowak pseudonim „Kama”, członek T.O.W. w 1940 r., następnie w 1941 r. Z.W.Z. i żołnierz AK. (...) stwierdzam: Stanisława Czychowskiego zamieszkałego we wsi Dzbenin, gm. Rzekuń, pow. Ostrolęka, w latach okupacji 1940–1944 znałam osobiście, należał przez cały okres okupacji do tych samych (co ona – przyp. Cz. P.) organizacji w stopniu podoficera (sierżant).*

Dom Stanisława Czychowskiego był dogodną kryjówką i schronieniem dla członków, których należało ukryć przez pewien okres czasu. Wiele razy korzystał z tej kryjówki mój ojciec, Stefan Szewczyk ps. »Sokół« oraz inni członkowie organizacji podziemnej.

Odbывały się u Czychowskiego zebrania konspiracyjne ze względu na dogodne położenie domu (kolonia). W czasie zebrań synowie Stanisława Czychowskiego, Czesław i Józef Mieczysław oraz żona Wiktoria pełnili dyżury na zewnątrz domu, ostrzegając w razie niebezpieczeństwa przed Niemcami.

Synowie Czesław i Józef Mieczysław pełnili też funkcje gońców i łączników w organizacji. Była to jedna z rodzin, gdzie każdy członek organizacji potrzebujący pomocy otrzymywał ją. Darzyli-śmy ich pełnym zaufaniem (...).”

Obecny dom Czychowskich, z czerwonej cegły, budował już stryj Mieczysława, Wojciech Czychowski, który po śmierci brata Stanisława ożenił się z wdową po nim, Wiktoria.

Naukę w szkole podstawowej rozpoczynał późniejszy poeta i malarz wówczas, gdy mieściła się ona jeszcze w ich domu. 5 i 6 klasę ukończył w ciągu 1 roku szkolnego na Stacji Kolejowej Ostrołęka i tak wspominał sam tamten czas: *„Szedłem pierwszy raz do tej szkoły, siedem kilometrów po przytorzu. Ubrałem mnie w angielską wojskową bluzę, ufarbowaną na wściekłe zielony kolor, spodnie miałem po ojcu, skrócono mi je nieco, tak, żeby wyglądały przyzwoicie. Matka uznała za słuszne podwiązać je pod kolanami. Na jednej nogawce miałem podwiązkę gumową, na drugiej zaś sznurek. Gdy podchodziłem do Stacji, sznurek rozwiązał się i nogawką opadła. Obląłem się potem, nie wiedziałem, jak ją zawiązać jedną ręką (drugą utracił 8 maja 1945 r. o czym niżej – przyp. Cz. P.). Nagimnastykowałem się okrutnie, sznurek był nieco za krótki, by go chwycić zębami. Upadłem twarzą na ścieżkę z kamieniami. Całą twarz zalała krew. I w takim stanie dotarłem do szkoły”*:

*(...) Siedzę teraz . W piecu palę.
I u ręki palce liczę.*

*Liczyć palce – rzecz okrutna.
Łatwa. I ogromnie smutna.*

Mieczysław Czychowski już od dziecięco – chłopięcych lat był wrażliwy na otaczające go piękno. Na naturę szczególnie. Na kolory ziemi i obłoków, na smutne westchnienia kurpiowskiego wiatru i radosny świergot jaskółek, wróżący na pogodę. Na słońce. Bo słońce – to światło, to cienie i półcienie kolorów, blaski i poblaski, wielokrotność i wielorakość barw – piękno świata i życia. On po prostu narodził się z natury, z jej piękna:

*Odwinęłaś mnie z łąki,
ochrzciłaś skowronkiem.
Oczy łzą przetarłaś.
Ty – jaskółka czarna.*

Tuż po wojnie na skrawkach znalezionej papieru i na starych kwitariuszach ojca (z czasu, gdy przed wojną przez kilka kadencji był sołtysem wioski) kawałkami ołówka lub po prostu częściowo zwęglonym w piecu drewnianym szkicował twarze swych sąsiadów i pejzaże najbliższej mu okolicy: nadrzeczne skarpy, pagórki z jałowcami, pola prześwietlone słońcem, rozległe łąki ciężarne stogami, drogi polne wiodące gdzieś w tajemnicze dale, nadnarwiańską ciszę utajoną w starych wierzbach i skłębione wiatrem łożyny nadrzeczne, samą Narew i obłoki kapiące się w niej radośnie.

Jego pokolenie poranione było szrapnelami wojny. Mietka poraniły one szczególnie boleśnie. W ostatnim dniu wojny, 8 maja 1945 roku – jak wspominał z bólem tamtą chwilę sam Mietek po latach – poszli z kolegą, Czesiem Piersą, zbierać naboje do rakietnic i inne wojenne trofea. Podeszli pod wieś Korczaki. Tam nastąpił wybuch jednej z rozłożonych w terenie min, z której Mietek, może zbyt pośpiesznie, chciał wykręcić zapalnik... Uratował życie, ale na zawsze stracił prawą rękę. Była to wielka tragedia i olbrzymi wstrząs dla kilkunastoletniego chłopca, tym tragiczniejszy, że malarstwo było jego marzeniem. Jego tragedia sięgnęła dna rozpacz, gdy zaledwie dwa miesiące później zginął jego ojciec, zastrzelony w czarnowieckim lesie, o czym było wyżej.

Tak więc już od lat chłopięcych życie nie szczędziło mu trudnych wyzwań, często dramatycznych i głęboko bolesnych. Refleksje o tym okresie zawarł w wierszu „Pokolenie”:

*A po nas może grudki cząstkę
ze krwi zlepioną i popiołów
ogień przetopi, słowo zwiąże
w fundament – dla waszego domu.*

*Więc tyle tylko będzie dane
nam, cośmy biegli z krzykiem wojen,
pod tę ostatnią dołów ścianę,
ściskając w szczękach – życie swoje.*

I to życie nie rozpamiętywało Mietkowej tragedii i rozpaczy. Parło naprzód. Musiał nauczyć się żyć bez ojca i z brakiem prawej ręki. Później przywykł, a wszystkie swe życiowe plany ujął mocno lewą ręką. Proteza prawej też okazała się bardzo przydatna, gdy – jak później opowiadali jego gdańscy przyjaciele – swą poezję życia musiał raz i drugi przełożyć na życia tego prozę, zrozumiałą dla gdańskich żulików, którzy podobno od tego czasu czuli przed nim respekt i starali się tak układać swoje ścieżki, by nie krzyżowały się z Mietkowymi ścieżkami. Ale to było już kilka lat później.

W ostrołęckim gimnazjum ukończył tak zwaną małą maturę (dziewięć klas) i przeniósł się do dwuletniego Liceum Plastycznego w Gdyni-Orłowie. Był to dla niego, kilkunastoletniego chłopca ze wsi nowy świat i nowe wyzwanie, jakie stawiało przed nim życie.

7 września 1950 roku w liście do matki pisał z Orłowa, że do szkoły z Ostrołęki jechali pociągiem we czterech. „*Mam akurat szeroki widok na morze przez okno naszego pokoju. Do brzegu jest sto metrów (...) – informował matkę. – Przysłę Mamusi widok z barką. Już zacząłem malować. Mówię Mamusi, że morze to*

naprawdę potęga, piękno i czar Polski” – fascynował się nowym, nieznanym mu dotąd, rozległym pejzażem nadmorskim, który go urzekał, stał mu się bliski i który pokochał na całe życie, tak, jak kochał ziemię i pejzaż rodzinny, kurpiowski. *„Ja na tej barce piszę też wiersze – informował dalej matkę w swym pierwszym liście z Wybrzeża. – Zamieszczam tu jeden, zadedykowany Dziowi (Maliszewskiemu – przyp. Cz. P.), pt. „Barka”. Od kolegów otrzymuję listy. Piszą do mnie starzy moi koledzy i przyjaciele, jak Dziwirski, (...) Maliszewski, Bałuta i inni z Ostrołęki. Jeszcze i Zdzisiek Kowalczyk...”*

W innym liście, z 1 listopada 1951 roku, pisał z Orłowa do matki do Dzbenina: *„Kochana Mamusiul! (...) Mam taką prośbę, żeby Mamusia przysłała mi buty i spodnie po Czesku (starszy brat Mietka – przyp. Cz. P.), o ile mają leżeć bezużytecznie. Mnie by się przydały. Jeśli nie, to przynajmniej 180 zł na jakieś pantofle. Te, w których chodzę, mimo, że podzeliwałem je od spodu, podarły się z wierzchu, a tu idzie zima. Ubranie na razie starczy mi to, w którym chodzę. I jeszcze... na strychu, w tej zielonej długiej skrzyni, pomiędzy listami, jest list z Warszawskiej Poradni Literackiej, prosi o jego przysłanie wraz z kopertą jak najszybciej. Jestem zdrow, Zosia też, co powinno Mamusię chyba najbardziej cieszyć. Słyszałem od koleżanek Zosi (najmłodsza z rodzeństwa siostra Mietka, pojechała w jego ślady uczyć się na Wybrzeżu, ta sama, która po latach będzie mu jedyną opiekunką i pocieszycielką w ostatnich dniach jego życia – przyp. Cz. P.), z którymi mieszka, że tęskno jej bardzo do domu. Czasami podobno aż płacze. Nie może już doczekać się ferii Bożego Narodzenia. Dobrze, że chociaż mnie ma przy boku, staram się ją pocieszać, gdy się z nią spotykam. Lecz ja na Wybrzeżu jeszcze rok, a ona cztery lata. Po skończeniu matury pewnie uderzę na Akademię w Warszawie (...). Mamusia powin-*

na jej i tylko jej najwięcej pomagać, chociażby z tego względu, że jest najmłodsza, a w dodatku dziewczyna. O mnie mniejsza... dla mnie potrzeba niewiele, niedługo będę pracował w swoim zawodzie, ucząc się dalej (...). Z nad spienionych bałtyckich fal serdeczne pozdrowienia dla Mamusi i Babci zasyła Mietek”.

Jednak po maturze i zdaniu egzaminów pozostał nadal na Wybrzeżu, przyjęty do Państwowej Wyższej Szkoły Plastycznej w Sopocie (potem przeniesionej do Gdańska). O rozpoczęciu studiów informuje swą matkę 3 października 1952 roku z Sopotu: „Droga Mamo! Inauguracja roku akademickiego została otwarta w Zbrojowni gdańskiej – starym zabytku architektury. Po uroczystym przemówieniu rektora naszej szkoły i po wysłuchaniu audycji radiowej ministra kultury i sztuki, zwiedziliśmy wystawę młodzieżową, urządzoną w tymże gmachu, a potem pod czerwienią transparentów i szturmówek przeciągnęliśmy krętymi ulicami Gdańska. Kilka tysięcy studentów różnych szkół wyższych wypełniło plac objęty płomieniem pochodni. Z mikrofonu padały zdania: »Oto wy, synowie robotników i chłopów, młodzi obywatele ludowej ojczyzny, macie dziś prawo do nauki na wszystkich uczelniach. Za dzień dzisiejszy, za dzień radości, padali twarzami w ziemię najlepsi rewolucyoniści. To z ich krwi wyrosły kwiaty naszego szczęścia«. Do taktu huczał głębokim rytmem bęben, a szeregi znów zaczęły wyciągać się w długości wąskich uliczek. Manifestowało młode pokolenie!!!

Jeśli Mamusia mogła by coś upiec to bardzo był bym z tego zadowolony. Obiady biorę w stołówce akademickiej, śniadania i kolacje – w domu. W pokoju mieszka nas czterech, dawni koledzy z bursy ortowskiej, są bardzo szczerzy i koleżeńscy...”.

Mietek studiował na wydziale malarstwa sztalugowego pod kierunkiem Krystyny Łady – Studnickiej, żony Juliusza

Studnickiego – profesora tej szkoły. Była ona świetną pejzażystką – kolorystką, ze szkoły kolorystów – kapistów.

17 listopada 1952 roku pisze do matki: *„Droga Mamo! Nie martw się... Zosia miała podróż możliwą, chociaż w pociągu było przepełnienie. Zaraz po powrocie przyjechała do mnie i przywiozła mi paczkę z żywnością, za którą Ci bardzo dziękuję. Do tych pór dożywiałem się zapasami kolegów. W świecie... między ludźmi, trzeba umieć żyć. Teraz mam okazję i cieszę się, że mogę się odwdzięczyć... Bez wzajemności nawet współżycia być nie może.*

Wczoraj w niedzielne popołudnie odwiedziłem Rosińskich, pogawędziłem z nimi trochę na różne tematy... czekając na Czeską, lecz się go nie doczekałem.

Dni akademickie przepływają mi bardzo szybko, zwłaszcza kiedy się stoi przy sztalugach. Nieraz jest mi bardzo wesoło, to znów ogarnia mnie jakaś tęsknota, sam nie wiem za kим i za czym?... Może za tą ciszą wiejską, może za ludźmi, z którymi rozłąka pozostawiła mi najtkliwsze uczucia w czasie, co nigdy nie powraca... Tak wygląda obraz naszego życia..., tak być musi..., dziś tu, jutro tam, a pojutrze kto wie gdzie? Przyszłość ma swoje tajemnice, sprawia człowiekowi niespodzianki mile... lub bardzo przykre i smutne. Wszystko przemija – nic nie jest wieczne, to tylko co pozostawimy po sobie w sztuce, dla której zwykła praca rąk każdego człowieka jest fundamentem i będzie świadczyła że nie zmarnowaliśmy życia – Tak Mamo..., praca jaką by nie była, ta najbardziej szara z szarych, ta trudna praca w codziennym znoju – Twoja, Mamo, i Babci i wielu ludzi, zapewnia nam miejsce przy warsztacie twórczym (...).

Bielizna wprawdzie wybrudziła mi się..., ale dam sobie radę sam. Trzeba uczyć się trudu życia, aby potem nie było ono niespodzianką... Muszę uczyć się nie tylko z książek... Czuję się dobrze,

nic mi nie dokucza. Jestem młody, a młodość ma wiele energii, by przełamać najmocniejszą przeszkodę...

W ubraniu granatowym chodzę w niedziele, czasem przy uroczystości układam je w dzień powszedni – tego brązowego choler nie lubię.

Zasyłam specjalne ukłony do Babci – da Bóg, że wyzdrowieje do Bożego Narodzenia – kiedy znów się spotkamy wszyscy razem przy wigilijnym stole zastanym sianem i podzielimy się opłatkiem...

3 marca 1953 roku donosi z Sopotu: „(...) W poniedziałek zdaję egzaminy z marksizmu, we wtorek z kresleń., resztę przedmiotów zaliczyłem na 4 i 5, nie mam na razie ani jednej trójki. 60 złotych otrzymałem, ale proszę mi pieniędzy nie przysyłać, Wam jest i tak ciężko, a ja dam sobie radę (...) Wyrósłem w Waszym kole, bliskie mi są Wasze troski dni codziennych, cenię Wasz trud, co jak strumień życiodajny tętni głęboko... I choćbym miał wiele w tym życiu przejść, wiele wycierpieć... myślą, sercem... zawsze pozostanę z Wami i tylko z Wami, bo kocham tą ziemię czarną i Was kochani...”

Ale życie najwidoczniej nie głaszcze go po głowie, nie udziela rabatów, nie daje taryfy ulgowej. 13 maja 1953 roku żali się swej matce: „(...) Przebacz Mamo, Ty jedna tylko możesz mnie zrozumieć, tylko Ty, bo kto więcej? Nietatwo mi przychodzi współżyć ze środowiskiem, często bywam samotny, szarpany wewnętrzną walką, zdany na własne siły... i taki to widocznie mój los, taka jego ironia. (...) O Mamo, Mamo, trudne jest życie, ile w nim cierpienie i udręki, ile bólu i zgryzoty...”. Zaś 6 kwietnia 1954 roku szczerze jej wyznaje: „Droga Mamo! (...). Ja wiem, że sprawiłem Ci przykrość swoim milczeniem i wiem, że to jest bardzo bolesne. Ja wiele napisałem listów, których nie wysłałem. Pisałem do Ciebie Mamo, pisałem szczerze i prawdziwie, o wszystkim, o tym co mnie

boli i smuci, co mi nieraz wyciska z oczu łzy. Ale Ty nie możesz czytać takich listów – jedynie w milczeniu mogą pomieścić tak palącą treść życia. Nie umiem się skarżyć, a Ty, Mamo, jesteś i tak zgnębiona troskami i chora, a jeszcze i ja – moje zmartwienia... to już za dużo (...). Nudzi mnie to życie w mieście, czuję się nieswojo i obco. I ot, chłopską dusza wylazi na wierzch. Ci ludzie przepływają tłumnie ulicami, ich wyrafinowana i nieszczerza uprzejmość – budzi we mnie odrazę...”

W 1958 roku Mieczysław Czychowski otrzymał dyplom Wyższej Szkoły Plastycznej w Gdańsku. W jego szerokich planach i zamiarach było również ukończenie reżyserki filmowej w Łodzi, lecz zamierzenia te nie wyszły poza strefę marzeń. Przyjęty zaś został do Związku Polskich Artystów Plastyków. Wcześniej bowiem, w 1955 roku z okazji Międzynarodowego Festiwalu Młodzieży w Warszawie otrzymał trzecią ogólnopolską nagrodę w dziale malarstwa za obraz pod tytułem „Nad książką”, wystawiony na Exposition Internationale de L'art des Jeunes (Międzynarodowej Wystawie Sztuki Młodych).

Ten twórczy jego życiowy sukces – jako młodego artysty i studenta – oraz inne jeszcze osiągnięcia malarskie i poetyckie, dodają mu sił i pewności siebie do dalszej działalności artystycznej, oczyszczają wewnętrzny błękit z pesymistycznych i nostalgicznych zachmurzeń. Do siostry Zosi pisze 12 listopada 1955 roku z Sopotu na domowy adres w Dzbeninie: „Zosiu, bardzo dziękuję Ci za list, tylko dlaczego tak beznadziejnie smutny. Ja wiem, że u Was nie wesoło – ale Ty przecież jesteś młoda, jeszcze wiele będzie chwil pięknych dla Ciebie (...). Życie jest zbyt krótkie, aby się przejmować zjawiskami przemijania. Obserwowałaś zapewne nieraz przepływanie obłoków – widziałaś jak zmieniają kształty i barwę. Podobnie jest z człowiekiem (...). Przejdźmy

jednak do spraw codziennych, bardziej naszych i nieco weselszych. A więc jestem zdrow, nie zbywa mi w obcowaniu z ludźmi na humorystyczności – pobłażliwej ironii. Jestem zarówno złośliwy jak i wyrozumiały dla tych, którzy są podobnie jak ja niecierpliwi. Prace malarskie – tu doznaje uczucia żalu i radości – które wykonałem w domu, a więc portret Staszka, oprócz tego pejzaż plenerowy, portret zielony Cyganiaka, skradziono mi z wystawy plenerowej, zorganizowanej w szkole. Po prostu ktoś ściągnął ze ściany. Wniosek. Nie warto być sławnym, bo cię obrabują....”. Zaś matkę informował 29 listopada 1955 roku: „Droga Mamo (...) Jest już dawno po pierwszej w nocy, kiedy piszę do Ciebie. Przed kilkoma godzinami powróciłem ze spotkania młodych środowisk twórczych; literatów, dziennikarzy, aktorów teatralnych, plastyków i muzyków. Widzisz Mamo – ja tyle mam spraw zawitych. My młodzi artyści musimy bić się ząb za ząb o swoje miejsce w społeczeństwie, musimy troszczyć się o jutrzejszy dzień, żeby to, czego się uczymy, a więc nasza wiedza i talent posłużyły ludziom i żebyśmy mogli z tego żyć. »Jesli jedni mądrzy ludzie poświęcają całe życie malarstwu – a drudzy mądrzy ludzie płacą za to olbrzymie pieniądze – to znaczy, że jest w tym wielki sens, że jest to potrzebne«. Sztuka świadczy o kulturze narodu – jaka jest sztuka, tacy są ludzie (...).

Pytasz, czy jest mi ciepło w tym moim pokoiku? Ku wielkiej radości muszę napisać, że tak, aż za bardzo. Jest on niewielki, kaloryfer grzeje, że nieraz muszę otwierać okno (...). Mam kompletny spokój, warunki odpowiednie do pracy... Muszę Cię zapewnić, że jest mi dobrze. Od czasu do czasu drukuję swoje utwory lub też publikuję w radiu, miewam wieczorki autorskie, które dość możliwie finansują, zresztą mówiłem Wam o tym. Malarstwo idzie mi świetnie – i czasami jest zadowolony z siebie ten, który się w domu tak trudził pisząc jakieś tam szalone wiersze. No coś, każdy na tym

świecie ma coś do spełnienia, każdy, kto jest twórczy, w jakimś sensie jest potrzebny, a więc potrzebny jestem i ja – bo jestem człowiekiem pracy trudnej i bardzo odpowiedzialnej. Rolnikiem czy oficerem może być każdy, kto jest fizycznie zdrow – malarzem tylko ten, kto ma talent i to go odróżnia od innych ludzi, z talentem rodzi się niewielu, należą do rzadkości. Pozdrów Babcię i Wszystkich – bądź zdrowa – Mietek”.

Jest więc w pełni świadom swych wartości twórczych w tym okresie młodzieńczych sukcesów i nieco zbyt euforyczny wobec własnych osiągnięć i dokonań. Faktem jest, że w okresie studenckim wiele swych prac malarskich prezentował z dużym powodzeniem i uznaniem na wielu wystawach, drukując również wiele wierszy w prasie, przedstawiając je w radio i na spotkaniach literackich, o czym będzie niżej.

Ten nadmiar chwilowej Mietkowej euforii w stosunku do samego siebie i swych osiągnięć twórczych – trzeba tu stwierdzić, że rzeczywiście nieprzeciętnych – wyczuła bezbłędnie jak zawsze niepokojąca się o niego matka, która zapewne nie omieszkła przedstawić mu powodu swego zatroskania, gdyż w liście z 10 maja 1956 roku pisał do niej z Sopotu: *„Droga Mamo, gdyby nie gałąź wiązu pod moim oknem, okryta teraz delikatną zielenią wiosenną, nie uwierzył bym, że z chwilą, kiedy od Was odjechałem, minął już miesiąc (...). Przebacz mi, Mamo, to moje zatracenie serdeczne w sprawach i rzeczach. I przebacz mi jeszcze i to, że się zagubiłem sam w sobie – po to żeby ocalić siebie, żeby pozostał na zawsze Twój... Twój jestem w każdym słowie i myśli, w najczulszym wzruszeniu, w serdeczności i w bólu moim. I Ty nie gniewaj się na mnie...”*.

6 czerwca 1956 roku znów pisał do matki: *„Droga Mamo, jestem jeszcze w Sopocie. To już ostatnia noc. Jutro rano wyjeżdżam*

do Brodnicy. W »Mewie« niema prawie nikogo. Ja też bym już dawno stąd uciekł, ale czekam na pieniądze. Pisałem Ci, iż przyznano mi stypendium trzymiesięczne w wysokości 750 zł. Stypendium przyznali mi w Warszawie, w ZLP za prace twórcze (wiersze). Poza tym załatwiałem sprawy różne w Teatryku Lalek, w pionie »Ziemia i Morze« – w radiu. Pod koniec tego miesiąca pójdzie moja audycja. Czuję się na ogół dobrze. Jeśli chodzi o to małżeństwo, to sądzę, że masz całkowitą rację. Halina wyjechała teraz do domu. Troszkę mi głupio bez niej. Widzisz Mamo, gdybym miał skończoną szkołę (jest jeszcze studentem – przyp. Cz. P.), to co innego – a tak? Nie wiem czy mógłbym dobrze pracować? Może? Dla mnie sztuka jest rzeczą powiedziałbym – ostateczną. Zresztą, mówiłem jej, że niech się po mnie nie spodziewa wiele i bardzo nie liczy. Ja chcę malować. A to zajmuje wiele czasu. Nie chcę zmarnować życia. Ona o tym dobrze wie i rozumie mnie. Zresztą sama pisze. Ma talent, jest młoda. Wiele radości, przykrości i smutków czeka na nią. Sądzę, że sprawy pomyślnie ułożą się, a jeśli będzie inaczej – płakał nie będę. Zrobię wszystko, co będę mógł (...).

Co do Zosi, bardzo cieszy mnie, że ma powodzenie... A Janek jest mądrym chłopakiem... Więc wszystko zostawcie jej. Niech się sama zastanowi, spojrzy w siebie. Zresztą te sprawy są cholernie trudne. Uczucia często zawodzą (...). Pozdrawiam Was – Mietek. P.S. Inka (zdrobnienie od wyżej wspomnianego imienia Halinka – przyp. Cz. P.) zapraszała mnie koniecznie do Kalisza. Nie wiem. Chciałbym pojechać”.

A więc Mietka – studenta – dziewczyna! Już i żona! Halina. Pisarka i malarka. Też studentka.

I list Mietka do matki z Kalisza: „Droga Mamo. Przebywam obecnie w Kaliszu u Haliny. Jestem zdrow i dobrze się czuję. Przyjęto mnie gościnnie, a poza tym wszystko było by dobrze, gdybym

miął co do malowania. Są tu uliczki, ale to mnie nie bierze – są mi obojętne. Pole, łąki, pagóry – to co innego – to jakieś moje. Wybieramy się z Haliną do Was. Zobaczysz ją, na pewno Ci się podoba – jest dobra, rozsądna i mądra. I ma wielki talent pisarski (...). Pozdrawiam Was – Mietek. W sobotę spodziewaj się nas – przyjeżdżamy!”.

Mietek został więc życzliwie przyjęty do rodziny Haliny, ją też serdecznie akceptowano w rodzinie Mietka, co wnioskować można z jej listu: „Gdańsk 16 stycznia 57 roku. Drodzy i Kochani! Wybaczcie mi, że nie pisałam tak długo, od chwili, gdy wyjechałam od Was. Na pewno Mama gniewa się, że Mietek i ja nie przyjechaliliśmy na święta. Tak trudno było się zdecydować. Mietek chciał być przy Was w wigilię i przy mnie. Ja też przy swojej Mamie i przy nim i w ogóle nie wiedziałam, co robić. Ażby pojechać tu i tam, nie było czasu i pieniędzy.

Mamusia moja gdy do nas przyjechaliliśmy, kazała nam wystać telegram po Mamę. Mietek mówił jednak, że Mama przestraszy się i rozchoruje, a poza tym stryj nie puści, więc ja nie wiedziałam jak to zrobić. Mama moja bardzo chce Was wszystkich poznać. Myślę, że to wszystko jakoś się ułoży na Wielkanoc (...). U nas zaczyna się sesja egzaminacyjna w tym miesiącu. Ja mam cztery egzaminy. Pozdrawiam Was wszystkich i całuję – Wasza Halinka”.

Mietek i Halinka tworzą szczęśliwą, kochającą się młodą parę!

Ale szara, uciążliwa codzienność będzie pilnie czuwać, by nie czerpali zbyt obficie ze swej miłości...

„Kochana Mamo – pisze Mietek 10 kwietnia 1957 roku z Sopotu. – Od czasu, kiedy wyjechałaś ode mnie, nic ciekawego nie dzieje się w moim życiu. Zawsze to samo, to znaczy co dzień co innego. Ten sam jest mój upór w pracy, te same obowiązki i tylko smartwienia są zawsze inne – i rzadko przychodzi radość, jak gdyby obawiała się moich rąk. Przychodzą tylko czarne godziny – rozterki

i obojętności. Inka (zdrobniale o żonie Halince – przyp. Cz. P.) – uspokoiła się nieco – jest bardziej wyrozumiała... Ona w zasadzie jest bardzo dobra, tylko czasami ma swoje niedobre dni...

Na ferie świąteczne przyjadę sam. Jej Mama bardzo nas zapraszała – ale ja przecież u nich nie czuję się tak, jak w domu... Chciałbym w domu trochę pomalować i odpocząć...

I jeszcze jeden list Mietka z Sopotu z datą 8 maja 1957 roku: „Kochana Mamo, z chwilą, kiedy odjeżdżałem od Was (a trzeba było odjechać) poczułem się tak, jakby mnie ktoś przemocą wyciągnął z gniazda, odbierając wszystko, co jest bardzo moje, z czym się zżyłem duszą i ciałem. Bardzo mi było żal odjeżdżać. Ty może pomyślisz, Mamo, że ja poetyzuję, że roztkliwiam się tak nad tym, co Ciebie nieraz boleśnie kaleczy, nad tym kołowrotkiem Twoich obowiązków i prac, które odbierają Ci zdrowie, przysparzają tylu smartwień i trosk. Ja Cię dobrze rozumiem i współczuję Ci.

No widzisz Mamo... mnie już chyba nigdy nie będzie dobrze; zawsze będę tęsknił do marzeń, które się nigdy nie spełnią. Natura obdarzyła mnie zbyt wielką wyobraźnią – i w tym jest całe moje nieszczęście i tragedia. Czasami myślę, że właściwie niczego mi nie brak – oprócz pieniędzy mieszkania i butów – a jednak to wszystko jest tak znikome, gdy jest; że zwyczajem ćmy polnej zginie i przepadnie bez śladu i ludzkiego współczucia. Lękam się czasami. Myśli podobne spędzają mi sen z powiek, trują i tak małą moją radość.

Podróż miałem raczej dobrą. Gdy przyjechałem, Halinka była już na miejscu. Placek oczywiście musieliśmy szybko zjeść, żeby nie spleśniał. Masło, które mi dałaś, wystarczyło nam na kawałek czasu. Jeszcze dziś Halinka coś na nim przysmażała. Jajka zużyliśmy szybciej. Gdybyś mogła w paczce przysłać kilkanaście sztuk – było by dobrze. U nas są stare i drogie. Stypendium nie wystarcza (...). Halinka i ja jesteśmy zdrowi, czego i Wam życzymy...

W latach 1958–1962, w końcowym okresie studiów i po nich, Mieczysław Czychowski prezentował swoje prace malarskie na wielu wystawach zbiorowych w studenckim salonie „Żak”, oraz w pierwszym salonie Gdańskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuki – Dwór Artusa i w wystawie okręgowej ZPAP. Indywidualne wystawy malarstwa, grafiki i rzeźby łączył z autorskimi spotkaniami poetyckim.

Obok zainteresowań malarskich – z profesji – w równej mierze pochłaniała Mietka – z potrzeby serca – poezja. Interesował się nią jeszcze w czasach gimnazjalnych w Ostrołęce, wspólnie z Dionizym Maliszewskim i Leszkiem Bakułą. Debiutował w 1954 roku na łamach „Głosu Wybrzeża” wierszami pisanymi w czasie, gdy był uczniem Liceum Plastycznego. Potem wiele swych wierszy drukował w pismach studenckich i literackich. W 1956/57 roku drukował w almanachu poezji i prozy młodych (wyd. „Iskry”). W 1960 roku ukazał się debiutancki tomik jego wierszy „Miejsca wydrążone”, wydany przez Wydawnictwo Morskie w Gdyni. Utwory, które tam zamieścił w cyklach „Konstrukcje z kości” i „Sąd Ostateczny” otrzymały nagrody na gdańskich konkursach literackich. Była to liryka pełna wewnętrznych napięć, metafor, gorzkiej ironii, buntu, zadziwiająca bogactwem wyobraźni autora, świadcząca o jego znajomości życia, świata i ludzi. Gorzkiej znajomości życia, świata i ludzi.

„Kochana Mamo (...) Ja w tym roku zasadniczo ukończyłem nauki w swej uczelni, jeszcze tylko pół roku dyplomowego, ale już nie jestem przywiązany studiami do swej szkoły. Do dyplomu mogę pracować samodzielnie. Zdaje mi się, że odtąd zaczną się nasze kłopoty. Inka ma jeszcze przed sobą rok dyplomowy... Sprawy »rodzinne« jakoś tam się mają... – dzielił się z matką swy-

mi troskami w liście pisany 12 lipca 1957 roku z Chełmna, gdzie przebywał na jednomiesięcznym plenerze. „– *Bardzo by mi się przydał ten garnitur, o którym wspominałaś, Mamo, gdyż na początku przyszłego miesiąca kumujemy z Halinką u naszych przyjaciół. Ma ona przyjechać w niedzielę do mnie do Chełmna, bo to niedaleko. Pieniądze od Zosi otrzymałem...*”. I właśnie siostrę Zosię informuje w kolejnym liście z 25 sierpnia 1957 roku: „*Obecnie przebywam w Kaliszu u Inki. Byłem przez kilka dni w Chodzieży – u jej Babci, a potem wróciłem na Wybrzeże. Bardzo było mi głupio, kiedy Inka ze swą Mamą wróciły do Kalisza. Ona nie czuje się dobrze...*”.

I sprawy – jak to Mietek powiedział – jakoś tam się mają. 29 lutego 1958 roku pisze matce, że „*całe dnie teraz jak nie piszę to maluję pracę na dyplom. Inka też przygotowuje się do magisterki. Chcemy skończyć jak najszybciej – z tą szkołą. Tyle lat – to przecież szmat czasu...*”. A czas ten biegł niezależnie od wszystkiego. „*O mieszkanie staram się, biegam prawie co drugi dzień po różnych urzędach* – informował znów matkę 20 lutego 1959 roku. – *To, w którym jesteśmy teraz – to jest czasowe miejsce – takie na razie. Gdybym miał z 10 tysięcy – to na pewno byśmy mieszkali już wygodnie – i mógłbym malować – a tak, niema specjalnie gdzie...*”.

„*Dziś jest dzień moich urodzin. Skończyłem 31 lat* – pisze w kolejnym liście do matki z 26 maja 1961 roku (raczej 30 – przyp. Cz. P.). – *Wczoraj dopinałem formalności mieszkaniowych. Teraz mogę w miarę spokojnie przygotowywać się do batalii w malarstwie. Tyle czasu straciłem – znaku niema po nim, a mógłbym już mieć stałą pozycję – w sztuce – gdyby nie trudności i brak miejsca, gdzie mógłbym spokojnie pracować. Nikt mi nie pomógł – żalił się w tymże liście. – Wszystko musiałem okupić latami czekania... To jest bardzo przykre, ale dobrze, że radość nie przychodzi łatwo*

– tym właśnie jest cenniejsza. Reszta zależy – prócz niespodzianek losu ciemnego – ode mnie.

24. – tego miesiąca – miałem pierwszą rozprawę rozwodową... Moja zgoda nie ma w sobie gniewu ani zemsty... Życzę jej (póki co, jeszcze żonie, Halince – Ince – przyp. Cz. P.) szczęścia i powodzenia w życiu – aby jej marzenia się spełniły i wszystko to, czego ja nie mogłem lub nie umiałem jej dać. Jestem zdrow. Całuję Cię, Mamo. Twój Mietek”.

W latach 1962–1964 wiersze jego drukowane były w almanachu „Poeci pomorscy I” i almanachu „Poeci pomorscy II”.

Tak Mieczysław Czychowski stawiał pierwsze kroki na kolejnym etapie swego życia i pierwsze kroki twórcze, zdobywał pierwsze artystyczne sukcesy i pierwsze z nich satysfakcje. *„Ostatnio miałem wiele kłopotu, było mnóstwo chodzenia – i jeszcze więcej nerwów, ale teraz wszystko już jest dobrze. Wyobraź sobie, że otrzymałem mieszkanie prosto spod igły. Jest wspańnięte, bardzo jasne i duże, jak na jedną osobę. Razem jest tego 36 m². Zwolnili mnie z kaucji – być może z czynszu także... Mogę zacząć normalnie pracować. Trzeba nadgonić stracony czas. Jak się trochę urządzę to chciałbym Cię, Mamo, zaprosić. Na pewno i stryj by przyjechał, zobaczył by przynajmniej morze i trochę świata. Zosia też wpadła by na wczasy...”* – radośnie informował i zapraszał matkę z najbliższymi w liście z 18 lutego 1962 roku. Ale pisząc do siostry Zosi list z tego nowego mieszkania z Gdyni 26 lipca 1962 roku ubolewa: *„Jakoś mi trudno przyzwyczaić się do siebie w tej Gdyni. Jakoś bardzo samotnie się czuję – może aż za bardzo, ale mówi się trudno, inaczej nie można. Może z czasem się to odmieni (...). Do końca miesiąca pozostało mi 50 zł. Muszę coś w międzyczasie zarobić, albo pożyczyć od kolegów. Strasznie mnie martwi to wszystko...”*. I oto 10 sierpnia

1963 roku informuje ją, że aktualnie jedną z najważniejszych dla niego spraw jest zamiana mieszkania. *„Mam chętnego, który chce mi dopłacić 40 tysięcy. Jego mieszkanie mieści się w Oliwie w bardzo cichym miejscu (...). Poza tym ten ktoś zostawia mi mieszkanie umeblowane...”*

W liście słanym 20 lutego 1965 roku z Gdańska-Oliwy do matki pisał: *„Bardzo mi przyjemnie, że się cieszysz z tych małych sukcesów”*. Ona – matka – pierwsza informowana była o jego osiągnięciach twórczych. Słał do niej wycinki z gazet, w których wymieniano jego nazwisko. Cieszyła się i dumna była z niego, że wyrastał na artystyczną indywidualność dużego formatu. A on malował, pisał wiersze, reportaże, rzeźbił. Współorganizował też amatorski teatr studencki przy Akademii Medycznej i Politechnice Gdańskiej, Przez wiele lat był współpracownikiem gdańskiego miesięcznika „Litera”. Ilustrował i projektował książki swych kolegów gdańskich, między innymi Bogdana Zbyszka Szymańskiego, Stanisława Dąbrowskiego, Mieczysława Stryjewskiego, Bogdana Wrocławskiego, Kazimierza Skrzydlińskiego. Prowadził też dział poetycki w tygodniku społeczno-kulturalnym „Kontrasty”. Wiersze swoje wciąż drukował w wielu publikacjach zbiorowych i na łamach prasy lokalnej i ogólnokrajowej. Poza debiutem książkowym „Miejsca wydrążone” (1960), wydał tomiki wierszy: „Misterium na uboczu” (1966), „Progresje” (1968), „Zapisywanie trenu” (1971), wybór wierszy „Lasem, losem, zboczem życia” (1974), „Krwią lamowane” (1979), „Wiersze wybrane” (1985) – wszystkie wydane przez Wydawnictwo Morskie w Gdańsku. Jeden, ostatni tomik „Powroty”, wydał w Oficynie Wydawniczej Klubu Literackiego „Narew” w Ostrołęce.

Mietek lubił i potrafił bawić się słowami, kolorować je, dodawać im wiele znaczeń. I niespodzianka! Pisał też wiersze piękne dla dzieci. Ba, wydał je nawet w maleńkim zbioru pt. „Pisane na szybie” w 1988 roku w Wydawnictwie Morskim w Gdańsku. Oto trzy z nich:

PISANE NA SZYBIE

*Na szybie świecącej jasno,
pagórki z kropielek rosy
i zorzy różowe pasma
przetkane czubami sosen.*

*Tamtędy można się włóczyć
Dokąd się chce, i dalej.
Tam zagubione kukułki
Tęsknią i wrona się żali.*

*Tam, z jamy ciemnej i krętej
lis gwiazdy włóczy na pola
i księżyc chodzi po rzece
w srebrnych spodniach do kolan.*

*O, znam te cuda na pamięć,
a ty, jeśli chcesz, to coś wybierz.
Resztę zmazuję rękawem –
przecież pisane na szybie.*

Kolejny wiersz:

PODRÓŻ KOSMICZNA

*Kiedy na twarz ci sfrunie dobry biały motyl,
a sufit, jak dłonie Matki, zamknie się nad tobą,
w niebieskich półbucikach pajac wejdzie oknem
i powie: „Cześć, kolego, jedźmy Mleczną Drogą”.*

*Złote ryby podpłyną do twoich stóp cichutko,
pelargonia czerwienią w oknie się zapali.
Wielki Wóz z nieba zejdzie—zatrzyma się w ogródku
— to najlepszy pojazd w tej kosmicznej dali.*

*A kiedy z twarzy odfrunie dobry biały motyl
i sufit, jak dłonie Matki, otworzy się nad tobą,
w niebieskich półbucikach pajac wyjdzie oknem
i powie: „Cześć, szczęśliwie wróciliśmy Mleczną Drogą”.*

I trzeci wiersz z tomiku dla dzieci:

KONCERT

*Gwiazdki piszą paluszkami promieni
po moim rękopisie i po szarej ziemi.*

*Świerszcz, ten skrzypek, z ciemnej szpary wyszedł
I też smyczkiem na powietrzu pisze.*

*Srebrna pszczoła na smyczku usiadła
I brzęcząc przypomina literki abecadła.*

Za swą twórczość Mieczysław Czychowski został wielokrotnie wyróżniany. Był laureatem „Czerwonej Róży”, nagrody Pierścienia (1972) za całokształt twórczości poetyckiej, dwukrotnie otrzymał Order Stańczyka, nagrodę przyznaną przez miesięcznik „Litera”. W roku 1975 przyznano mu nagrodę wojewody gdańskiego, odznakę „Zasłużony działacz kultury” i Złoty Krzyż Zasługi. Od 1964 roku był członkiem Związku Literatów Polskich, w latach 80. skarbnikiem w Zarządzie Oddziału Gdańskiego ZLP. W 1994 roku otrzymał nagrodę wojewody gdańskiego za całokształt twórczości.

Twórczość Czychowskiego знаła nie tylko cała Polska. „Głos Wybrzeża” (z 27 listopada 1975 r.) informował, iż wydawany przez uniwersytet w Oklahomie (USA) międzynarodowy literacki kwartalnik „Books abroad” (książki za granicą) zamieścił omówienie ostatniego tomu wierszy znanego wybrzeżowego poety i artysty-plastyka Mieczysława Czychowskiego pt. „Lasem, losem, zboczem życia”. Autor recenzji wysoko ocenił dzieło poetyckie Czychowskiego, podkreślił dojrzałość jego poezji, rzetelność i bogatą wyobraźnię, łączącą się z głęboką refleksją.

O twórczości poetyckiej Czychowskiego dowiedzieli się również czytelnicy wydawanego przez uniwersytet w Veracruz (Meksyk) periodyku „Cosmos”. Opublikowany został tam artykuł, w którym omawiana była twórczość Mieczysława, oraz umieszczony wiersz pod tytułem „Monolog dla niewidomej”, w przekładzie na hiszpański.

Mimo, że Mietek mieszkał i tworzył na Wybrzeżu, poezja jego tkwi korzeniami w krainie dzieciństwa, cała wywodzi się z ziemi rodzinnej, kurpiowskiej (wierszy gdańskich, w porównaniu do całości jego twórczości, jest niewiele).

„– *Jestem i czuję się poetą miejsca. – Miejsca mojego urodzenia* – mówił zawsze. – *Jestem z nim związany uczuciowo. Tam mieszka moja matka, siostra, brat i przyjaciele*”. Powracał więc do matki, do otwartej szeroko przestrzeni pól i łąk dzbienińskich, do wysokiego błękitu nad Narwią i skowronka w nim klęczącego, do rodzeństwa, przyjaciół, osób mu bliskich. Do Ostrołęki i Dzbenina wreszcie. I mimo, że kochał Wybrzeże, morze, gdańskie zaułki i tamtejszych przyjaciół, zawsze mu serdecznych i życzliwych, że kochał po swojemu najlepiej i najpiękniej jak potrafił swych tam najbliższych, zawsze jednak uważał, że *„bliższe jest mi miejsce, w którym się wychowałem, miejsce dzieciństwa, które ukształtowało moją wrażliwość”*.

W poezji Czychowskiego jest niepowtarzalna urokliwość i piękno. Splata w niej ze sobą liryzm z ironią, powagę z dowcipem poetyckim – wszystko to połączone jednym wielkim pulśnowaniem życia. Wiele w niej filozoficznej zadumy nad bytem, ciągłego dialogu ze światem. A wciąż jest w niej obecny człowiek, z całą złożonością swego losu, zagubiony w obojętnym, ba, jakże często wrogim świecie.

„– *Poezja dla mnie jest przede wszystkim artystycznym i moralnym określeniem się wobec ludzi i czasu, w którym żyję. Także wobec historii*” – stwierdzał poeta.

Tak więc Czychowski swą poezją określał się artystycznie i moralnie wobec ludzi, czasu i historii. Nie krzyczał, nie wrzeszczał, w sposób wyciszony, ale stanowczy, stał bezkompromisowo w obronie tego co moralnie, artystycznie i historyczne piękne i wartościowe w życiu i w człowieku. Cieszyło go każde dobre słowo, uznanie czy wyróżnienie jego twórczości, tej malarskiej i tej poetyckiej. Ale nigdy nie zabiegał o poklask i sławę, ze swą poezją, ze swą twórczość-

cią w ogóle, nie pchał się na cokolwiek ustawiony w centrum, nie stawał przed innymi., łokciami nie przepychał się przez życie. Po kurpiowsku był honorny i skromny. I żył skromnie, często na skraju możliwości. A choć sam miał niewiele, potrafił tym jeszcze dzielić się z innymi, i zawsze to czynił z życzliwością i radością w sercu, że może komuś coś ofiarować, czy pomóc. On po prostu w sposób kameralny, gdzieś na uboczu dopełniał się w swym życiu i w tym, co tworzył – tak, jak dopełnia się misterium. Misterium przepełnione magią problemów i tematów, wielością poetyckich błysków, smaków i barw, odcieni filozoficznej zadumy, religijnej refleksji, dotyku wszelkich spraw ludzkich. I drażnienia tych wszelkich spraw i problemów poprzez to twórcze misterium właśnie. Poprzez poetycko-malarskie doznania piękna.

Niezależnie od tego, że w swej poezji tkwił korzeniami głęboko w krainie dzieciństwa, potrafił czynić ją dojrzałą, świadomą praw nieuchronnego przemijania i goryczy codziennego życia. Wciąż poszukującą prawdy i sensu w dzisiejszym świecie. Był mistrzem – malarzem słowa i poetą obrazu. Bo drugim, równorzędnym jego talentem (i profesją) było, jak już wspomniałem, malarstwo. Połączenie tych dwóch pasji – poezji i malarstwa – dawało mu olbrzymie możliwości twórcze, pozwalało w pełni odbierać cały otaczający go świat, całe życie, poprzez własną wrażliwość i bogactwo barw swej duszy.

„– Uważam, że to, co osiągnąłem w poezji, ma bliźniaczy profil moich poszukiwań malarskich – mówił o swych pasjach sam autor. – Rzeczą istotną dla mnie jest samoistne życie materii malarskiej obrazu z całą jego skomplikowaną strukturą wnętrza (...). Z liczby kierunków artystycznych, istniejących w literaturze i malarstwie, rzeczą najbardziej pasjonującą, jedynie słuszną i sensowną,

jest radość i smutek »własnej podróży« doświadczeń artystycznych, sprawdzonych życiem i tych pozaartystycznych, sprawdzających się w sztuce”.

Bogactwo wyobraźni i rzeczywistość życia tworzyły jedną rozległą przestrzeń jego poezji. Niecierpliwej, pełnej niepokoju, niepewności, buntu, a jednocześnie tak tkliwie swojskiej, rozkwitłej w nadmorskich horyzontach i na kurpiowsko-dzbenińskich równinach, nawilżonych nocną rosą, rozbłękitnionych barwą nieba i Narwi. Poezji nasyconej jego tęsknotami, bólem, czasem rozpaczliwym wołaniem o odrobinę ciepłego uśmiechu kogoś bliskiego, o okruszynę sytego ciepła, podanie dłoni otwartej, przyjaznej, o chwilę dobroci potrzebnej do uspokojenia i wyciszenia serca. Naznaczonej jego pragnieniem zapomnienia choćby na chwilę o zawikłanych problemach szarych codziennych dni. To znów przyprawionej raz dowcipem, raz ironią, które nadawały jej różnych smaków, plastyczności i malarskości. Toteż zapewne dlatego – co uważam za jeden z najważniejszych znaków i jedno z najważniejszych znaczeń tej twórczości – jest fakt, że wnika ona głęboko w wewnętrzny świat czytelnika, składając go nie tylko do pochylenia się nad tą poezją, ale i wprowadzenia w swój, jakże często szary świat, wielu barw i akcentów dobra i piękna.

Jego poezja, głównie ta wczesna, była też swego rodzaju buntem przeciwko ideologicznemu zniewoleniu. Pamiętajmy, że Mietka dzieciństwo i młodość przypadły na czas wojny, a zaraz potem stalinowskiego „zamordyzmu”, czas pohańbienia godności i duszy ludzkiej, zniewolenia sumień, ztracenia marzeń, kiedy tak „pięknie rozkwitał” PRL, łamiący zasady i wartości moralne, przekazywane mu od dziecięcych lat jako fundamentalne wartości godnego życia. Nie zapomniał o nich

mimo wielu przeciwności na przestrzeni życia. Toteż poezję jego charakteryzuje niepowtarzalny sposób obrazowania, wynikający z twórczego osamotnienia, malarskiej wrażliwości bolesnego odczuwania zła oraz wszelkiej nieprawości, jaką naznaczyła nas wojna i jaką niósł po niej okres, kiedy pod pozorem budowy szczęśliwego świata wprowadzono całkowite zniewolenie we wszystkich dziedzinach życia.

A poezja Cychowskiego, łącząc w sobie plastyczność malarską, wywołującą nastrój, z moralnym niepokojem autora, nasycona wieloznacznością, skrótami myślowymi, to znów malowana obrazami, wymaga od czytelnika uwagi i skupienia, ale też odsłaniała z pasją te wszystkie mroczne strony ludzkiego życia i sumienia. Bo on nie akceptował zła, które ogarniało swym zasięgiem coraz rozleglejsze przestrzenie ludzkiej egzystencji, stawało się forpoczta zniewolonej rzeczywistości.

W obliczu takich spotkań Cychowski nie ulegał politycznym zwidom, szedł własną ścieżką światła, często zatroskany, przez wielu nie akceptowany, przemilczany, „przypadkowo” zapomniany, bo tu się nie pokłonił, tam nie poklepał kogoś po ramieniu, jeszcze gdzie indziej nie pozwolił by jego poklepywano. Toteż bywało i tak, że był oskarżany nawet o nie szanowanie autorytetów, o brak umiejętności właściwego zachowania się wobec tych autorytetów. A dla niego to po prostu nie były żadne autorytety...

*Zrzeka się – przyjmując, jakby tracił wiarę.
To miasto maszkarami drwi z niego bezgłośnie.
Zmarli odjeżdżają ostatnim tramwajem:
Pół życia tu zostawił, sobie – na szyderstwo.*

*Teraz karpie martwe dręczy w fortepianach,
nożem je otwiera, szuka drzewi do wyjścia:
Towarzysze na piętrach w domu towarowym –
w futerały chowają papierowe głowy.*

*Poważny jest jak Budda, który połknął żabę
i wie, że zaskrzeczy w nim, gdy otworzy usta.
Skrzywią się piękni władni – obróć plecami:
Ach, ten Czychowski – powiedzą – znowu się wygłupia.
(Autobiografia)*

Mietek nigdy nie odnalazł się do końca w zawiłych układach i układzikach miejskiej peerelowskiej przestrzeni, w której niejednokrotnie właśnie wymagano hołdu, ukłonu niskiego, grzecznego pozdrowienia i czapki zdjęcia z głowy, okłasków, uśmiechu wdzięcznego, czasem też trzeba było jakiemuś panegiryk jakiś wysmażyć. Wielu potrafiło to czynić i żyło im się dostаточно, zaś w Mietku świadomość tych układów przeróżnych rozniecała bunt, budziła tkwiącą gdzieś tam w nim głęboko chłopską honorność i hardość. Toteż – jako bacznego obserwatora – w początkowym, burzliwym wprost okresie swej twórczości jest pełen buntu, pewnego rodzaju drapieżności, odważnego, śmiałego drążenia tematów i miejsc. Z czasem staje się twórcą coraz bardziej wyciszonym, wrażliwym na przemijanie, w pełni świadomym kruchości istnienia, jego dramatyzmu, utajonego nawet w codzienności, w ludzkich dążeniach, marzeniach niespełnionych, nierozwikłanych zawikłaniach świata i życia właśnie.

Jakże często stawał bezradny wobec rzeczywistości w jej fizycznym wymiarze, gdy musiał spojrzeć jej w twarz, mocować się z prozaicznymi problemami codziennej egzystencji. Tracił

wtedy wszelkie wątki, był zagubiony. Bo Mieczysław Czychowski miał wielki talent twórczy, potrafił pięknie malować, pisać piękne, wartościowe wiersze. Ale za grosz nie miał „talentu” rozpychania się łokciami przez życie. A ono codziennie niesło wiele problemów i kłopotów. Więc zmogły go w końcu, rozłożyły na obie łopatki:

*A inni chytrzy i podstępni
Tuczą się na twej krwi i pracy.
Oni – nieskazitelnie piękni.
Widzisz, jaki ten świat sobaczy.*

Mietek był świadom swej życiowej bezradności (wyraził to nawet w jednym z listów do matki) i ta świadomość doskwierała mu często. Czasem podejmował próby wyszamotania się z niej, ale to szamotanie jedynie umęczyło go do cna i z zasady na tym się kończyło. Jego pozytywne wartości burzyło udręczenie dramatycznymi wstrząsami, jakich doznawał od najbliższych mu osób, niszczyły uwikłania w życiowe przypadłości i poddawanie się chwilom zagubienia.

Zapewne dlatego czuł w sobie potrzebę naturalnej przestrzeni, wolnej od wszelkich zgryzot. Fascynowała go cygańska dal życia. Był sobą, gdy z torbą – chlebakiem przewieszonym przez ramię, z kromką dobrego słowa za pazuchą jechał pociągiem, autobusem, przygodnym pojazdem lub szedł pieszo (zawsze powoli, spokojnie, nie licząc czasu, chociaż zawsze wszędzie był na czas) w wołające go rozległe przestrzenie poezji i barw, światła i obrazu. W kąciku chlebaka wciąż nosił z sobą Pismo Święte Nowego Testamentu, wydanie kieszonkowe, w twardej brązowej okładce w płótnie, z zakładką założoną

między stronami 126 i 127, gdzie w Ewangelii według świętego Marka zapisane było: „*Uzdrowienie kaleki z uschlą ręką. Jezus (...) rzekł do owego człowieka: – Wyciągnij rękę! Ten wyciągnął ją, bo ręką została wyleczona...*”.

Mieczysław, masywnie zbudowany, powolny, nieco ociężały w ruchach, fascynował się – jakby wbrew swej posturze – wszystkim co kruche, delikatne, ulotne wręcz. Szliśmy obaj któregoś lipcowego dnia ścieżką nad Narwią, wśród omdlałych zapachów ziół i kwiatów, w chłód nadrzecznych łożyn, a on przystawał i pełen zachwytu obserwował trzmieła tańczącego z kwiatem. To znów z rozjaśnioną radośnie twarzą podziwiał migocące na falach Narwi srebrzyste błyski światła, albo zmienność cieni i półcieni na zielonej palecie łożyn, zmieniających się zależnie od powiewu wiatru, lub też przysłonięcia słońca obłokiem.

– Popatrz – mówił z przejęciem – te drobiny życia i światła kryją w sobie cząstkę wielkiej tajemnicy istnienia.

Czyż mogłem nie potwierdzić jego racji wobec prawd oczywistych?

To były zachwyty dziecka, zachwyty artysty – poety i malarza, zachwyty dorosłego mężczyzny wrażliwego na piękno życia i świata, na jego zmienności i różnorodności, na zawarte w nim tajemnice. To był właśnie Mieczysław Czychowski.

Wszystko, co obserwował, czego doznawał, utrwalał w swej twórczości poetyckiej i malarskiej, starał się ocalić przed odejściem w niepamięć każdą ulotność, każdą chwilę piękna i jego kruchą, delikatną nietrwałość.

Żył intensywnie. Twórczo. Kolorowo. Żył z pasją. Kochał szum Puszczy Kurpiowskiej i szum Bałtyku. Kochał błękit kurpiowskiego nieba odbitego w nurtach Narwi i błękit odbity

w morskich falach. Dużo podróżował. Najczęstszą drogą jego wędrówek była trasa Gdańsk–Ostrołęka, Ostrołęka–Gdańsk. Całe jego życie miało zapach Bałtyku, zapach bursztynu i Zielonej Puszczy, było jak kurpiowski wiatr i jak morskie fale.

Tworzył często w podróży. Patrząc przez okno pociągu, czy autobusu, obserwował zmieniające się krajobrazy, ich kolory, zmieniające się elementy je tworzące. Te chwile i pejzaże wypatrzone utrwał w swej pamięci i szkicowniku, wykorzystując potem w swych obrazach.

Pamiętam też, jak pewnego dnia siedzieliśmy obaj na nadnarwiańskiej skarpie, ukryci wśród nadrzecznych łożyn, z otwartą przestrzenią na Narew i jej drugi brzeg, okryty również bujną gęstwiną krzewów i drzew. Zbliżał się koniec lata. Słońce migotało światłem, tworząc ulotne pasma ciepłych barw, drgających i zmieniających się wśród szumu narwiańskich wód i poruszanej lekkim wiatrem nadrzecznej zieleni, rozniecającej już wczesno jesienne swe kolory. Siedzieliśmy zapatrzeni, zasłuchani w tę urokliwą chwilę tworzenia się i zanikania barw, cieni i odcieni światła i nim zafascynowani. Bo z Mietkiem można było przegadać cały dzień i noc, albo przemilczeć taki czas, jak ten. W pewnej chwili zdecydowanym ruchem ręki sięgnął do nieodłącznej torby – chlebaka, wyciągnął szkicownik oraz kawałki pokruszonych kolorowych kredek i zdecydowanymi, jakby niecierpliwymi ruchami szkicował ulotność tej chwili, jej barwy, cienie i półcienie, które tworzyły razem piękno tego rzeczno – nadrzecznego skrawka pejzażu.

W ogóle to on ciągle poszukiwał życia prawd pierwszych, motywacji potrzeby jego istnienia. Fascynował go ruch tego życia, jego rodzenie się i umieranie. Przemijanie. Życia człowieka, ptaka i kamienia, trzmiecia, kwiatu i bożej krówki, życia

żdźbła trawy na dzbenińskiej łące i gwiazdy nad jego domem, tym w Dzbeninie właśnie, gdzie w drzwiach matka zawsze czekała na niego. Życia i śmierci w ogóle:

*Tak odchodzą ludzie i drzewa,
kamień także się nie ostoi.
Z burzą w grzmotach przyszła ulewa:
żdźbła w upale ostrzy pasikonik.*

Ciągle zdarzały się w nim, w jego poezji, życia tego sprzeczności, których było tak wiele wokół niego, w nim samym też.

Od lat szkolnych wraść Mieczysław Czychowski w twórcze środowisko Gdańska, w tamtejsze ulice, uliczki i zaułki, w krajobrazy nadmorskie. Ale w sercu zawsze nosił ziemię kurpiowską, Dzbenin i Ostrołękę. Tu ładował swoje akumulatory twórcze i życiowe, tu nabierał sił do dalszego mocowania się z życiem, tu też leczył rany głęboko cięte i szarpane. Tu wreszcie odkrywał zawsze na nowo wartości swego życia, nabyte w dzieciństwie – wartości syna Tej Ziemi. Był mocno zakorzeniony w swych dzbenińskich – kurpiowskich krajobrazach, w tamtej wiejskiej, chłopskiej rzeczywistości. Nosił to głęboko w sobie, w swej dumie i honorności, w sercu, w sposobie bycia i zachowania, w nawykach, w swej twórczej przestrzeni. Zawsze i wszędzie był oryginalny, niepodrabialny, niepowtarzalny, w swym życiu, gestach, twórczości. Jego ulubionym poetą był Cyprian Kamil Norwid, któremu – jak słusznie zauważano – był bliski w nawiązywaniu do tradycji poetyckich. Podobnie jak on poszukiwał prawdy świata i sensu istnienia w nim. Znał na pamięć zadziwiająco dużo wierszy Norwida, które recytował z upodobaniem przy każdej nadarzającej się ku temu okazji.

Nie cierpiał litowania się nad sobą. Znał swą wartość artysty, ale znał także bolesny tragizm swej wartości, barwy i smak dramatów, jakich doznawał. Był bardzo towarzyski, otwarty szeroko na ludzi i otaczający go świat, na życie, które często raniło go tak boleśnie. W tłumie wyróżniała się jego masywna sylwetka, o łagodnych, nieco ociężałych i powolnych ruchach, ciągle w tym samym, z niedbałą fantazją noszonym – coś w stylu telewizyjnego porucznika Colombo – płaszczu, z torbą-chlebakiem przewieszonym przez ramię. To także niezwykle dobroniosny gaduła, gawędziarz wspaniały, którego chętnie się słuchało i z którym przy kuśtyczku toczyło niekończące Polaków rozmowy. Który potrafił nie tylko mówić ale i cierpliwie słuchać tych, którzy jemu chcieli przedstawić żale i bóle swej duszy. Miał w sobie coś, co jednało mu u wszystkich ogromną sympatię. *„Jestem Gdański Kurp”* – mówił o sobie ten szeroko znany i wysoko ceniony poeta, malarz i rzeźbiarz (na przekór swym manualnym możliwościom rzeźbił w kamieniu). *„Ty jesteś tam, w Gdańsku, ale jesteś stąd, bo tutaj pierwsze światło wpadło w twoje oczy. Kurpiowskie światło”* – powiedział kiedyś do niego Stanisław Skolimowski – malarz i jeden z jego ostrołęckich przyjaciół. I miał rację, bo Mieczysław całe życie nosił w swych oczach to kurpiowskie światło właśnie. Zgasło wraz z jego odejściem.

W malarstwie pierwsze kroki stawiał Czychowski jeszcze jako student, podczas Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów w Warszawie w 1955 roku. W ogłoszonym wówczas konkursie, jak wyżej wspomniałem, otrzymał trzecią nagrodę w dziale malarstwa sztalugowego za obraz „Nad książką”, wystawiony następnie na Exposition Internationale de L'art. des Jeunes (Międzynarodowej Wystawie Sztuki Młodych. W latach 1958–1962 brał udział w wystawach zbiorowych w stu-

denckim salonie „Żak” oraz w pierwszym salonie Gdańskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuki i w wystawie okręgowej ZPAP. W 1958 roku przyjęty do Związku Polskich Artystów Plastyków. Miał też liczne wystawy swych prac w Polsce, Szwecji, Anglii i Niemczech, oraz wiele spotkań poetyckich. Jego wiersze przetłumaczono na język m.in. angielski, rosyjski, niemiecki, a obrazy znajdują się w wielu kolekcjach prywatnych i muzealnych w Polsce, Europie i poza jej granicami. Muzeum Kultury Kurpiowskiej w Ostrołęce posiada również piękny zbiór jego malarstwa, które eksponowane było kilkakrotnie w muzealnych salach wystawowych.

Mieczysław Czychowski z konieczności malował w technice pastelowej. Postacie – twarze, oraz pejzaże, to główne tematy jego twórczości malarskiej. Postacie mają w sobie wiele poetyki i ludowości, łagodności, to znów zadziwienia, przechodzącego, a właściwie zmieszanego z niepokojem, z niewydobyтым jeszcze z siebie krzykiem przerażenia. W pejzażach zaś ciągle się zmienia tonacja barw, sposób operowania nimi. Raz malowane zamasyście, to znów z wyciszeniem, uspokojone, nasycone ruchliwością barw, kurpiowskim słońcem, pachnące kurpiowskim wiatrem i borem, wiosenną wierzbą rosochatą, choiną i jałowcem. Otulone ciepłem piaszczystych skarp, pagórków, strzeżone kurpiowskimi Chrystusami i świątkami przydrożnymi. Wypoczywające w ciepłe kolorów, przeglądające się w chłodnych błękitach. Jakże często autor syci je wyłącznie własnym odczuwaniem, własnymi troskami, zadumą, to znów blaskiem radosnego rozświecenia. W pejzażach mazowieckich i kurpiowskich odtwarza pejzaż własnej duszy, utrwała ulotność chwili, spojrzenia..., stwarza i wywołuje nastrój i refleksję, z wyczuwalną nutą dziwnej tęsknoty i niespełnienia. Przemijania... Pa-

trząc na te obrazy wielokroć miałem nieodpartą chęć zdjąć buty i boso – by wyczuwać i przyjmować ciepło ziemi – wejść w te pejzaże, pobyc w nich, położyć się pod wierzbą lub przy świętej figurze stanąć, popatrzeć na przepływające w błękitach obłoki, posłuchać szelestu upływającego czasu, ciepłem i światłem się nasycić, rozśpiewać wiatrem w Mietkowych sośniakach...

W wielu obrazach, które stworzył, osobiście dostrzegam niepokojącą dynamikę i pulsowanie, to znów łagodne wyciszenie, niedokończoną, gdzieś nagle urwaną myśl..., spojrzenie..., twarze pełne światła, pogody, to znów półcieni smutku czy zakłopotania, nostalgii...? Zapatrzenia się, zauroczenia dałą? Szeptem własnej duszy może? Odbieram je również jako wołanie, krzyk Mietka samotności i tęsknotę serca. Bo tak naprawdę, mimo tylu życzliwych i przyjaznych mu osób, Mietek całe życie był samotny.

Był też Mieczysław dzieckiem natury, kochał otwarte przestrzenie pól i łąk, zieloną ciszę lasów. Widoczne to jest we wszystkich jego pejzażach, tych kaszubskich, żuławskich i tych rodem z Mazowsza, z Kurpi, z nad Narwi.

Poetycka i malarska wrażliwość, połączone w jedno, dawały mu olbrzymie możliwości twórcze, potęgowały intensywność odczuwania otaczającego świata i życia z całą swą złożonością. Może też stąd jego poezja nie jest łatwa w odbiorze, Do obcowania z nią trzeba wewnętrznego skupienia, właściwego dostosowania swej wyobraźni do różnorodnych wątków skojarzeniowych autora, do bogactwa jego wyobraźni i fascynujących go spraw, zdarzeń, ciągłych klęsk, upadków i nieustannego dźwigania się.

Ale w tej twórczości ciągle trwa wielkie misterium. Misterium życia i śmierci. A pomiędzy jednym i drugim mieści się

wszystko inne, wypełnia całą przestrzeń. Toczy się i pulsuje świat ludzkiej egzystencji, z dziewiczą bielą niewinności, dobroci, ale i całym dramatyзмом zła, ze swymi namiętnościami i sprzecznościami, z całą złożonością losu.

Zarówno w poezji jak i malarstwie Mieczysław Czychowski był twórcą nieprzeciętnym, intrygującym w pojmowaniu i przedstawianiu rzeczywistości – która jest niejako sumą złudzeń i doświadczeń życia. Jego twórczość – powtórzę – to wielkie misterium. Misterium z akcentami magii, iluzji, ludowego festynu....

Mietek ciągle miał u ramion wiatr. Ciągle wiało go w przestrzenie otwartych krajobrazów i nadziei. Nadziei, że przywieje ku niemu lepszy czas. Że znów przyjdzie wiosna i osypią się bielą kwiatów wiśnie i stareńka jabłoni w sadku koło dzbeńińskiego domu, a on w tym sadku usiadzie, zrzućci z siebie ciężar kłopotów, trosk i umartwień tyłu, położy je w worze obok siebie, zapachem miodnym się zauroczy, nasyci do woli, błękitu z nad domu się napije, pragnienie ugasi, boso w soczystość łąki świtanie się zanurzy, ze skowronkiem nad polem powzdycha radośnie, wiosennie, i z Narwią modrą poszepcze najczulej...

Jego bolesne życie wiało go w tę nadzieję. Zatrzymał ją w sobie do końca. Dawała mu siłę wrastania ponownie w ojcowiznę, budowała w nim dom, jak dawniej, z ciepłym piecem i wygodnym kątem, z błogosławionym dotykiem rąk matczynych...!

*Po dniach udręki i nadziei
w dali zaświeci nam Itaka.
Podróżni – dom swój opuścimy.
Ten będzie smutny, kto nie płakał.*

Mieczysław Czychowski znał – jak już wspomniałem – swą wartość artysty, poety-malarza wysokiej klasy. Ale znał i cenę tej wartości, nosił w sobie bolesny tragizm i gorzki smak dramatów, jakich doznawał, obdarzany nimi przez życie:

*Przyjdiesz od łąki mgło łaskawa
na szept szmerliwy ściętej gruszy.
Poumierane przyjdiesz zabrać,
ale żywego – nie poruszysz.*

*Po śladach, które ziemia skrywa,
pójdzie mój zgrzebny wiersz najczulej
i wszystkie rzeczy ponazywa
radością, pomieszaną z bólem.*

*Patrzę, a rzeka zmienia bieg:
w jej nurcie niebo stoi czyste.
Przesyłam ci na tamten brzeg
kącieńców światło wiekuiste.*

W ostatnich latach coraz częściej i coraz bardziej ciągnęła go tęsknota (a zapewne i rzeczywistość zmuszała) tu, nad Narew, gdzie zawsze czekała na niego matka, serdeczna, za troskana... I rodzinny dom z czerwonej cegły w cieniu starych wiśni i stareńkiej jabłoni, łąka soczysta, rozległa w zieleni, pole słońcem dojrzewające... Nurzał się w tym dzbenińskim, nadnarwiańskim krajobrazie, świtanie znów szedł boso w mgłami porannymi otulony pejzaż dzieciństwa, zrywał dmuchawce i rozrzucił na wiatr, po miedzach snuł delikatną przędzę wspomnień...

*Uleciało ze mnie tyle życia
i wcale nie jest mi lżej.
Siebie dźwigam –
stary wór parciany
pełen kamieni
przywiązany do krzyża.*

– refleksyjnie wyznał w jednym ze swych wierszy. A matka... otaczała go zawsze ciepłem rodzicielki, oczyszczała z gorczy życia, była źródłem siły. Matczyną miłością uciszała jego ból, pomagała, przygniatałemu ciężarem codzienności, dźwigać się ku słońcu, ku radości i nadziei. Przy niej, spracowanej wiejskiej kobiecie, czuł się jak dziecko bezpieczny, uspokojony i ufny, pił spienione porannym udojem mleko i cieszył się każdą chwilą...

Ale któregoś dnia matka odeszła ścieżką szczęśliwego wędrowania. Dom rodzinny stał się pusty, z wystygłym piecem, zapadała w nim coraz głębsza cisza, po kątach błakał się tylko Mietka żal i wspomnienia, coraz śmielej snuły się pajęczyny upływającego czasu, przemijania... Chłód coraz bardziej studził tę Mietkową nadzieję. A ból narastał, dokuczał coraz mocniej. Pozostał sam. Toteż bardzo boleśnie przeżył to matki odejście, zagubił się w swej bezradności. Szybko jednak odkrył, że ona ciągle jest obecna w ich domu, wśród kuchennych sprzętów, w wiśniowym sadku za oknem, że jak zawsze ciągle czeka na niego! Znów więc z wielką nadzieją szedł do swego domu w Dzbeninie – niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, Mamo moja – mówił do niej, siadał w starym fotelu w pokoju po słonecznej stronie i rozmawiał z nią, skarżył się i przedstawiał, jak przedtem, swe żale, pokazywał okaleczenia

i bóle, patrzył na sadek za oknem..., a ona, matka, poprzez ciszę domu, poprzez świergot ptaków w sadzie, znów leczyła rany jego życia... Krzepiła nadzieją... I oto niespostrzeżenie kończyło się lato roku 1995. Jesień powolutku wypełniała chłodem przestrzeń i kąty Mietkowego domu w Dzbeninie. – *Dobrze by było, bym mógł posadzić jeszcze przed mrozami ze dwie czereśnie w sadzie i sliwki węgierki* – opowiadał mi z przejęciem i troską o swych najbliższych zamierzeniach. – *Na wiosnę posiej w ogródku przy domu rzodkiewkę, cebulkę, w cieniu drzew posiedzę, pomaluję trochę, popiszę, sąsiadów odwiedzę...* – rozjaśniał się wewnętrznie i pogodniał na samo wspomnianie tego, że z wiosną osiedli się w rodzinnym domu. – *Ale jak mam to uczynić, skoro blat kuchni ciągle zimny i piec wystygły boli coraz mocniej, jak rana pod łopatką po przebytej wiosną operacji?...* – frasował się zaraz i smutniał. – *Jak uspokoić serce?...* *Skąd brać soki żywotne?...* – rozmyślał głośno i charakterystycznym dla niego ruchem kciuka lewej ręki wycierał prawe oko... A wszystko stawało się coraz bardziej trudne, bo za matką odszedł jego brat Czesiek, sąsiedzi zza miedzy, koledzy z dzieciństwa... Było mu gorzko, ginęło coraz więcej przyczółków... Jako bezpieczny azyl pozostał jeszcze dom i rodzina siostry Zofii Sagalskiej, koledzy „Narwiacy”, kilku przyjaciół serdecznych... I urokliwa cisza – jak sam określał – biblioteki Muzeum Okręgowego. Tu zawsze, gdy tylko powracał w swe strony, miał swój przytulny kąt. Tutaj też w ostatnim okresie swego życia, głównie gdy był już po operacji, bywał codziennym gościem. Smakując wolno owocową herbatę lub bezalkoholowe piwo (zwykłego już nie pił) kontemlował malarstwo, którego albumy mu podawałem, to znów pochylał się nad tomikami wierszy kolegów i przyjaciół. Wchodził w bliski mu świat obrazów, barw i poezji. Często

też toczyliśmy przyjaciół rozmowy serdeczne, to znów nawiązywał rozmowy i dyskusje z innymi osobami odwiedzającymi codziennie bibliotekę, szczególnie przyjaciółmi i kolegami, którzy wiedząc, że tu go spotkają, często przychodzili: Edek Kupiszewski, Tadek Machnowski, Fredek Sierzputowski, Staszek Pajka, Jurek Kijowski, Boguś Fedorowicz, Staszek Kałucki, Tadek Kraszewski, Andrzej Szczubelek, Wojciech Woźniak i wiele innych osób – odbiorców jego poezji, dla których chwila z nim rozmowy była dużą radością i satysfakcją. A i jego te wszystkie spotkania i rozmowy cieszyły niezmiennie. Mietek w ogóle miał w sobie coś takiego, co zjednywało mu sympatię każdego, kto z nim pobyl chociaż przez chwilę.

Pewnego dnia zauważyłem jednak, że coraz częściej, milcząc, jakby wpatruje się gdzieś w dalekie przestrzenie swej duszy, toczy milczący dialog z samym sobą. Czasem dość ostry dialog, pełen napięć i stanowczych wyzwań, to znów łagodny, chyba pełen radosnych wspomnień, lub może powitań z matką? A wyczytać to można było obserwując dyskretnie zmieniający się układ rysów jego twarzy: raz ostrych, brwi ściągniętych zmarszczką zatroskania, złości czy gniewu, ust mocno zaciśniętych, to znów pełnych radosnych poblasków, łagodnych i ciepłych, ust delikatnie, jakby w uśmiechu rozchylonych...

I tak powoli jesień wchodziła chłodem do Mietkowego domu w Dzbeninie, a choroba bólem coraz mocniej w jego życie. Coraz bardziej dawała mu się we znaki, ból narastał, był coraz silniejszy. Ostatnie swe spotkanie autorskie miał w poniedziałek 6 listopada 1995 roku, zorganizowane przez Ogólnopolskie Towarzystwo Inicjatyw Kulturalnych im. C.K. Norwida (ten Norwid był z nim do końca) w lokalu ostrołęckiego oddziału Stowarzyszenia „Civitas Christiana”. Po raz ostatni

publicznie recytował swe wiersze jak zawsze z pamięci (znał je na pamięć i chętnie recytował przy różnych okazjach). Ze spotkania, słaby już i cierpiący, pojechał prosto do ostrołęckiego szpitala. Tam, odwiedzany przez szpitalnego kapelana, pojednał się z Bogiem poprzez sakrament pokuty i Komunię świętą, ogromnie cieszył się z tego powodu. Odwiedzałem go w szpitalu z kolegami dwukrotnie. Był pogodny, wewnętrznie wyciszony, otrzymywał kroplówki z glukozą na wzmacnianie organizmu. Po wyjściu 24 listopada i krótkim pobycie w domu siostry Zofii Sagalskiej, odwieziony został 11 grudnia 1995 roku do szpitala w Redłowie, gdzie przez dwa tygodnie czuwała troskliwie nad nim niezapamiętana siostra Zofia (mieszkała przez ten czas u państwa Szturmowiczów), a swą opieką otaczali go tamtejsi jego przyjaciele, m.in.: pan profesor Kazimierz Nowosielski, państwo Żabczyńscy oraz państwo Szturmowiczowie. Tam zmarł 23 stycznia 1996 roku o godzinie 19,25.

26 stycznia powrócił do rodzinnego domu w Dzbeninie, skąd w kondukcje żałobnym poszedł po raz ostatni do rzekuńskiego kościoła, a stąd, po Mszy świętej żałobnej, żegnany przez kapłana i – w imieniu nas wszystkich – przez ostrołęckiego przyjaciela literata Edwarda Kupiszewskiego, na rzekuński cmentarz. Tu spoczął – zgodnie ze swym życzeniem – w rodzinnym grobie obok swej matki. Szli z nim razem jego najbliżsi, sąsiedzi i mieszkańcy Dzbenina, przyjaciele i koledzy z Ostrołęki i Wybrzeża, Warszawy i innych miejsc naszego kraju, przedstawiciele władz gminnych Rzekunia, miasta Ostrołęki (z wiceprezydentem Wiesławem Tyszką) i Gdańska (z wiceprzewodniczącym Rady Miasta), szli wielbicie jego twórczości, szedł tłum ludzi młodszych i starszych, którzy przyszli pożegnać dobrego, szlachetnego człowieka.

*Panie, który raną przebitego boku
nadzieję otwierasz – odpuść nasze winy,
bo Ty jesteś światłem w okrucieństwie mroku
a my jesteśmy z Ciebie – do Ciebie wrócimy*

Pisał w wierszu poświęconym pamięci księdza Jerzego Popiełuszki. I odszedł tam, skąd przybył – w otwartą nadzieję...
A tutaj...

*Żyć będzie to, co wzrasta trudem
z miłości i uczynków naszych.
Minie czas klęski i czas próby
pola pod nowy pójdą zasiew.*

Szedłem w kondukcje żałobnym razem ze wszystkimi, ze ściśniętym gardłem i sercem, w ten bardzo mroźny i śnieżny styczniowy dzień jego pogrzebu. I swą wyobraźnią widziałem go takim, jakiego on siebie samego wspominał z rozrzewnieniem sprzed lat:

(...)
*widzę cię chłopcze
idziesz polną drogą
w śnieżnej zawiei.
W zaspę zapadasz.
Składasz dłoń w okarynę.
To wiatr huczy.
Nad równiną niebo jak otół.
Pod niebem dookolny las.*

Mietek, Przyjacielu!

Dziękuję Ci za te nasze wspólne rozmowy w zaciszu biblioteki muzeum ostrołęckiego i w naszym „Zielonym Salonie”, za nadnarwiańskie wypadki spacerowe... Dziękuję za piękną refleksyjną poezję o człowieku i dla człowieka, za Twoje piękne obrazy, szczególnie te z pejzażem z moich i Twoich stron, i za ten jeden, który stał się inspiracją mojego opowiadania...

Dziękuję Ci za każdy uścisk dłoni, po kurpiowsku serdeczny...



W kilka lat po śmierci Mietka, jego siostra, Zofia Sagalska – najczulsza mu opiekunka i pocieszycielka w ostatnim okresie życia – odnalazła w dalekiej Ameryce Halinę, jego żonę jeszcze z czasów studenckich (o czym wyżej pisałem). Przedstawiła jej bolesną samotność i cierpienie Mietka w ostatnich dniach jego życia.

Gdy się pobrali, jako studenci, mieli po dwadzieścia (i kilka) lat i bardzo się kochali. Nie umieli jednak ochronić przed szarością życia i ciężarem losu swej tak pięknie zakwitłej miłości. A że była piękna, niech zaświadczy sama Halinka-Inka. Posłuchajmy jej serca...

A..... 8 XII 2006 r.

Kochana Zosiu! (...) Najgoręcej przepraszam Cię za tak długie milczenie po twoim liście. Ten list wstrząsnął mną, długie tygodnie nie mogłam przyjść do siebie. Nie przypuszczałam, że moje stare

serce zdolne jest jeszcze do takiego bólu i cierpienia... bo Twój list to kronika cierpienia i umierania Mietka i Twojego cierpienia i tego niezwykłego hartu i siły, żeby dni swe ostatnie przeżył jak człowiek. Lata całe, bardzo długie lata nic, żadne wiadomości o Mietku do mnie nie docierały (...). O chorobie nie wiedziałam nic. O śmierci Miecia dowiedziałam się od Alberta (on był dziekanem na wydziale rzeźby w Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku). Dowiedziałam się w jakieś trzy miesiące po pogrzebie.

Kochana Moja! Ten Twój list, tak obszerny, tak bolesny. Jakże tragicznie odchodził Miecio z tego świata. Czy tak musiało być?... Czy taki los był mu sądzony?... (...). Jakie to bolesne... Przeżyliśmy z Mieciem życie osobno i nic o sobie nie wiedzieliśmy. A ja teraz oplakuję po latach Jego tragiczną śmierć, Jego wielkie cierpienie. Jego samotność w tym umieraniu i tylko Ty, Twoja anielska dobroć i poświęcenie przynosiły mu ulgę...

W trudnych chwilach mojego (bardzo nieudanego małżeństwa z p. J.) wspominałam Mietka. Jego delikatność, wrażliwość, Jego dumę i uczciwość. Jego odwagę mówienia zawsze prawdy... i Jego wielki talent... Byłam zawsze pełna podziwu i uwielbienia – czytałam wszystkie Jego wiersze... To co malował, było mi potem już niedostępne, wyprowadziłam się z Wybrzeża w 1984 roku. Miałam dwadzieścia lat, gdy poznałam Mietka i zakochałam się szaleńczo. Dzisiaj mam siedemdziesiąt lat i wiem, że tak prawdziwie to tylko Jego kochałam. Tyle rzeczy, sytuacji i ludzkiego gadania złożyło się na nasze rozejście się... Wielka szkoda, że nie umieliśmy wytrwać, przetrwać trudnego czasu... W 1962 roku załatwiłam Mieciowi tę zamianę mieszkania z Gdyni do Oliwy. Wtedy widziałam Go ostatni raz (...).

Ściskam Cię Zosiu najgoręcej i całuję, serce Ty moje.

*A to jest czas odjazdu – Pani,
i wstępowania czas do piekła.
Drzewa zanoszą się na deszcz.
A na co ja się mogę zanieść.*

*Najsmutniej w siebie patrzeć – Pani.
Z czarnego świerku jest powidok.
Fale jeziora z burzą idą
i klaszcząc cichną u przystani.*

*Mnie pytasz co tak boli – Pani.
Miejsce w pamięci jedno puste.
Jak gdybym białą dotknął chustę,
i milcząc – wstąpił do otchłani.*

(Wiersz pożegnalny)

A..... 2 VI 2007 r.

Kochana Zosiu! (...) Twój list znów sprawił, że cała przeszłość i młodość moja (durna i chmurna, ale przecież piękna) stanęła mi prze oczyma. Znów parę dni nie mogłam spać... Mietek, Jego delikatność i jakaś taka czystość wewnętrzna i prawość, a i bezbronność... Wszystko przyplłynęło do mnie na fali wspomnień. Gorzko płakałam... i tak mi żal, ciągle żal, że nie udało nam się... Byłam za słaba, nie umiałam wielu rzeczy... Życie nasze było trudne... Problem ze wszystkim – mimo wykształcenia, brak dobrze płatnej pracy, brak mieszkania. Wszystko było trudne dla nas, tak młodych. Ja miałam 20 lat! Mietek życiowo

też nieporadny, bo uczciwy... Różnił się bardzo od swoich kolegów plastyków. Oni jakoś umieli się zakręcić... Był idealistą i prawym człowiekiem. Moje drugie małżeństwo było pełne udręki i cierpienia. Mój były mąż nie jest wart nawet paru słów o nim (...). Mietek pozostanie jako ten, którego pokochałam i kochałam... Było w nim coś tak świeżego, chłopięcego... Dlatego był tak wspaniałym poetą i malarzem. (...).

Zosiu, jaka ogromna szkoda, że nie odnalazłaś mnie wcześniej, w czasie choroby Miecia. Przyjechałabym, pomogłabym Ci we wszystkim. Jak to życie nami pomiata. Nie tak, jak człowiek pragnie, planuje... jakaś siła odwraca nas z właściwej drogi, spycha jakby w przepaść...

Kiedy załatwiłam Mieciowi zamianę mieszkania z Gdyni przy placu Kościuszki na Oliwę – to odwiedziłam Go parę razy w tym mieszkaniu, wtedy dał mi mały portret kobiety, bardzo malutki pejzażyk, taki zielony i portret dziewczynki, tak szkicowo malowany (...).

Kochana Moja Najmilsza Zosiu, wielkie, przeogromne dzięki za listy, za kopie pism o Mieciu. Przeglądam to, co już mi przysłałaś i płaczę i serce boli na wspomnienie losu mojego, naszego z Mieciem. A najbardziej boli los, który był udziałem w tym małżeństwie, które było Jego drogą przez mękę. Nic o tym nie wiedziałam.

Pod koniec czerwca będę już w Polsce – wtedy skontaktuję się z Tobą i musimy się zobaczyć. Całuję Cię i tulę do serca. Twoja Inka.

*Wspomnienie jest jak pusty pokój
gdzie echo słyszeć twoich kroków
gdy się oddalasz, z echem znikasz,
i niema cię, już cię nie słyszeć.*

*Od ust odjęłaś kwiat – i świeci,
jak mlecznej drogi mgła daleka.
Tak patrzeć mogą tylko dzieci
na świat, na niebo – w los człowieka.*

(*** Wspomnienie jest...)



Rok po śmierci Mieczysława Czychowskiego ostrołęccy jego przyjaciele spotkali się z nim przy mogile na rzekańskim cmentarzu na wspólnej modlitwie. Zapalili znicze, recytowali jego wiersze. W kościele św. Bartłomieja w Gdańsku, odprawiona została Msza święta za jego duszę, a po jej zakończeniu profesor Kazimierz Nowosielski deklamował Mietka wiersze o Bogu, o wędrownym człowieku przez życie i o tym, co go w tym życiu spotkało, m.in. wiersz *Droga do Emaus*:

*Porzucone w okolicy sieroctwa rzeczy
milczą i los się starzeje.
Przyjaźń ma dwa oblicza – złudne i prawdziwe
I nie na tę stronę przychodzi po której czekasz.*

*Tak więc ucisz się, pogódź i nie narzekaj
bądź dobrej myśli, idź drogą na Emaus.
Spotkasz wielu wątpiących, chorych i bluźnierców
ale nie przeraż się – na drodze tej Pan czeka.*

Następnie ksiądz celebrans zaprosił przyjaciół Czychowskiego do Domu Parafialnego na kawę i „uczagę duchową” – wspominała tamtą rocznicę cioteczna siostra Zofii Sagalskiej, Irena Bocheńska, mieszkanka Gdyni.

16 września 2006 roku Szkoła Podstawowa w jego rodzinnej wsi Dzbeninie, decyzją uczniów, ich rodziców i grona nauczycieli, przyjęła uroczyste za swego patrona Mieczysława Czychowskiego. Uważam – i taka jest opinia powszechna – że była to ze wszech miar właściwa decyzja. Nadanie szkole jego imienia rozpoczęło się Mszą świętą w kościele parafialnym w Ostrołęce, podczas której dokonano poświęcenia sztandaru. W Dzbeninie uroczystość uświetniły dziewczęta na koniach z miejscowej stadniny, przejazd stylowych bryczek, piękny występ uczniów ze szkoły muzycznej w Ostrołęce. Dyrektor szkoły Agnieszka Załęska powitała licznie przybyłych na uroczystość przedstawicieli władz, kuratorium, kolegów i przyjaciół Mieczysława z ugrupowań twórczych, krewnych, znajomych, sympatyków jego twórczości. W szkole otwarto też wystawę, poświęconą Patronowi, a uczniowie przygotowali o nim ciekawy program artystyczny, recytowali jego wiersze, przedstawiali wypowiedzi, fragmenty listów, poświęcone mu utwory innych twórców, wspomnienia osób bliskich. Zaś jego siostra, Zofia Sagalska, ze wzruszeniem mówiła o jego związkach z rodzinną ziemią, Dzbeninem, domem i najbliższymi, wspominała dawne spotkania i wydarzenia...

Wierzę, że dobry Ojciec będzie wspomagał go w czuwaniu nad tą szkołą z niebiańskich ogrodów. Jedna z gdańskich bibliotek, przy ulicy Zakopiańskiej, z której zbiorów Mieczysław Czychowski często korzystał, również przyjęła go za swego patrona.

W Gdańskiej Galerii Fotografii Stefana Figlarowicza zorganizowana została wystawa jego wierszy (również rękopisów) pod hasłem *Komu ten wiersz jest potrzebny*, a odpowiedzią na to tytułowe zapytanie, był na otwarciu tłum przyjaciół autora, poetów, ludzi sztuki, sympatyków jego i jego twórczości.

9 października 2007 roku w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Josepha Conrada Korzeniowskiego w Gdańsku odbyła się ogólnopolska sesja poświęcona życiu i twórczości artysty pt. *Mieczysław Czychowski – poeta i malarz*, oraz otwarcie wystawy jego prac plastycznych. Poprzedziła ją uroczysta Msza święta za spokój duszy Mietka, odprawiona w Bazylice Najświętszej Marii Panny w Gdańsku, w której udział wzięli wszyscy uczestnicy sesji.

W sesji tej uczestniczyła, razem z dyrektorką Szkoły Podstawowej im. Mieczysława Czychowskiego w Dzbeninie Małgorzatą Cichocką, również siostra Mieczysława, wspomniana już kilkakrotnie Zofia Sagalska, która całym sercem bolała nad jego chorobą i losem osamotnienia. Tuż po Mszy świętej, udała się do księdza prałata Bogdanowicza, by złożyć ofiarę na kościół, ten oznajmił jej, że jest bardzo podobna do swego brata Mieczysława, który często bywał w tym kościele i przychodził do niego, a gdy go nie było, siadał w ławeczce i czekał na niego pisząc wiersze. Oznajmił również, że prawdopodobnie tam właśnie powstał jego wiersz o księdzu Jerzym Popiełuszcze:

*Rzeczywistość rozpekła i semafor wygast
pośpieszna ciemność dudni pod gwiazdami
gwiazdy i krew w kształcie krzyża
krążą w nas i spadają razem z nami.*

*Panie który raną przebitego boku
nadzieję otwierasz odpuść nasze winy
bo Ty jesteś światłem w okrucieństwa mroku
i my jesteśmy z Ciebie do Ciebie wrócimy.*

*Dajeś nam wolną wolę i prawo wyboru
nie karz tych co błędzą tych co źle wybrali
ale spraw by wrócili do Twego domu
i cesarzowi cesarskie – Bogu boskie oddali.*

*Solidarnym w cierpieniu prawym – po lewicy
daj poczucie siły bo Twój krzyż dźwigają
skrwawiony ciężarem opuszczonej kotwicy
pamięć pomordowanych sumienie tego kraju.*

„Z ogromną radością i wzruszeniem przyjąłam zaproszenie na dzisiejszą sesję »Mieczysław Czychowski – poeta i malarz«, poświęconą życiu i twórczości mojego brata Mieczysława, której towarzyszy otwarcie wystawy jego prac plastycznych – z przejęciem mówiła pani Zofia podczas swego wystąpienia na sesji. – Zorganizowanie tego dzisiejszego spotkania i Państwa obecność na nim najpełniej zaświadcza o tym, że mój brat był twórcą nieprzeciętnym, powszechnie znanym i uznanym.

Był on też człowiekiem bardzo skromnym i prostolinijnym, życzliwym. Nigdy nie przywiązywał uwagi do spraw materialnych, gromadził w sobie dobroć i wartości twórcze.

Cale swe w pełni dorosłe życie brat Mieczysław spędził na Wybrzeżu. Kochał morze, kochał to miasto, w którym jesteśmy, kochał najlepiej jak tylko potrafił swych najbliższych. Cenił bardzo przyjaciół i kolegów, szanował wszystkich, którzy byli mu życzliwi. Ale

kochał też swój dom rodzinny, Dzbenin i Ostrolękę – ten zakątek ziemi tak bardzo bliski i drogi jego sercu, gdzie chętnie powracał, niejednokrotnie poturbowany życiem. Tam też, zgodnie ze swym życzeniem, spoczął na zawsze.

Wszystkim, którym droga jest pamięć o Mieczysławie – Mietku, jak wszyscy w rodzinie zwracaliśmy się do niego – którzy zorganizowali tak piękne to dzisiejsze spotkanie, wszystkim tym, którzy cenią mojego Brata jako człowieka i jako twórcę, sercem całym najszczerzej dziękuję”.

Zaś córka pani Zofii, Urszula Nowak, dzieliła się swymi o wujku Mietku wspomnieniami: *„Wujek na każde święta Bożego Narodzenia starał się przyjeżdżać do Ostrolęki. Dużo czasu spędzał w muzeum, malował. Wśród ludzi sztuki wujek jest znany i ceniony (...). Moja siostra, Jolanta Kowalczyk, wraz z mężem Pawłem, uczą w Szkole Podstawowej nr 3 w Ostrolęcie na Stacji i zorganizowali tam izbę pamięci, poświęconą wujkowi. (...). Wujek nie miał łatwego życia. Jakoś się zwykle tak układa, że losy artysty są smutne, tragiczne i rozwichrzone, tak jak wujka Mietka. Moja mama mówi, że gdy taką człowieka, jak wujek, trafi na osobę, która się nim zaopiekuje, to jest dobrze. Ale gdy trafi na kogoś, kto sam potrzebuje opieki, to dzieje się źle. Dziwnie było z tym wujkiem. Czasami przyjeżdżał do Ostrolęki i mówił: »Może ja bym tu został już na stałe?«. Ale mijał miesiąc i coś go ciągnęło w świat, do Gdańska (...). W ostatnim okresie swego życia tworzył bardzo dużo i z wielkim zapalem. Mamy w domu dużo pięknych, wzruszających listów od wujka, które pisał do mamy, gdy był już chory. Trwa pamięć o nim i żal, że już nie żyje. Wielki żal”.*

Trwa pamięć o Nim! I żal!

Trwają jego obrazy, rzeźby. Trwa jego poezja.

I w tej twórczości zawsze trwał będzie On – Mieczysław Czychowski – Mietek – Kurp Gdański.

Przeszedł do historii literatury i kultury polskiej jako wybitny twórca.

O jego twórczości napisanych już zostało siedem prac magisterskich przez studentów Uniwersytetu Gdańskiego, jedna praca dyplomowa przez nauczycielkę języka polskiego Szkoły Podstawowej w Dzbeninie, oraz jedna praca doktorska.

Dokładnie w 15. rocznicę śmierci Mieczysława Czychowskiego, 23 stycznia 2010 roku, w kościele Zbawiciela Świata proboszcz tej parafii ksiądz kanonik Jan Świerad odprawił Mszę świętą za spokój jego duszy, a pięknie uczestniczyli w niej nauczyciele i uczniowie Szkoły Podstawowej w Dzbeninie. Obecni byli też członkowie rodziny i przyjaciele. Zaś dyrektor, Małgorzata Cichocka, przedstawiając patrona swej szkoły, deklamowała fragment wiersza „Pejzaż z okolic Dzbenina”, który tu przytaczam w całości:

*Ptak się w listowiu zawieruszył
za płotem w siną mętność nieba
wędrują pochylone grusze,
żuraw nad studnią się koleba.
Stado krzykliwych wron znad boru
ginie w szarościach przedwieczoru.*

*W redlinach rośnie bezszelestnie
cień przydymiony łodyg rdzawych.
Babina kłos ziemniaków niesie
i fartuch pełen świeżej trawy
poprawia na ramionach chudych,
zmęczona dyszy ciężko, z trudem.*

*Na miedzy ostu skwarny krzew
potrącił zając i puch biały
wzbił się strzępkami w dym i mgłę,
ponad jałowiec ośniedziały
i sośnin przedwieczorne pasmo
co za pagórką już przygasto.*

*W łozach spóźniony wóz kłękoce,
ścierniskiem ciągną krowy mleczne
plączą się w cieniach podobłocznych
co wydłużyły się i zmierzchły.
Wyrostek gwizdząc trzasnął z bata
i najciemniejszy cień rozplatał.*

*A z cienia niby z końskiej torby
sypnął szeleszcząc złoty obrok
na grzbiety krów, na ciepłe mordy
na rzekę co się wiję modro
za dnia – a teraz lśnić szmaragdem
stanęła pod gwieżdzistym żaglem.*

I coś więcej, Drogi Przyjacielu Mieciu, mogę o Tobie i Tobie powiedzieć? Cóż piękniejszego mógłbym Ci przesłać na tamten brzeg, jak nie fragment – z lekką parafrazą – Twojego „Przesłania II”:

*Po śladach, które ziemia skrywa,
pójdzie Twój zgrzebny wiersz najczulej,
i wszystkie rzeczy ponazywa –
radością, pomieszaną z bólem.*

*Patrzę – a rzeka zmienia bieg:
w jej nurcie niebo stoi czyste.
Przesyłam Ci na tamten brzeg,
kaczęćców światło wiekuiste.*

Ostrołęka 23 stycznia 2011 roku





Mieczysław Czychowski, poeta i malarz



Gdynia-Orłowo, 18 października 1950 roku, Mietek z ostrolęckim kolegą Wiesławem Postaleńcem



Zdjęcie z folderu do wystawy prac Mietka „Mieczysław Czychowski. Poeta i malarz”, Gdańsk 2007 rok



Babka Mieczysława, Józefa Czychowska z jego ojcem Stanisławem (z prawej) i stryjem Antonim



Babka Mieczysława, Rozalia Romanikowa z jego matką Wiktoria



Ojciec Stanisław Czychowski



Ojczym, brat ojca, Wojciech Czychowski



Matka Mieczysława, Wiktoria Czychowska



Mieczysław Czychowski



Siostra Zofia Sagalska



Halinka-Inka Urbaniak, pierwsza żona Mieczysława



Pogrzeb matki Mieczysława, Wiktorii Czychowskiej



26 maja 1987 roku, w rocznicę bitwy ostrołęckiej w imieniu Towarzystwa Przyjaciół Ostrołęki, Mietek (pierwszy z prawej) składa kwiaty pod pomnikiem Szarży Artylerii Konnej pod dowództwem Bema razem z Elżbietą Zielińską i Czesławem Parzychem



2 września 1988 roku, Mietek przy grobie ostrolęckiego przyjaciela Dionizego Maliszewskiego, z Czesławem Parzychem i Alfredem Sierputowskim



12 maja 1995 roku, Mietek (w pierwszym rzędzie z prawej) na uroczystej sesji Rady Miejskiej z okazji rozpoczęcia Dni Ostrołęki. Obok niego siedzi Henryk Syska, piosarz – Kurp Olsztyński



3 listopada 1994 roku, Mieczysław Czychowski w bibliotece Muzeum w Ostrołęce



26 maja 1995 roku, spotkanie w Towarzystwie Przyjaciół Ostrołęki z okazji 64 urodzin Mietka. Przyjmuje życzenia wraz z upominkiem urodzinowym od prezesa TPO Jadwigi Nowickiej i wiceprezesa Zdzisława Załuski



29 stycznia 1996 roku, dzień pogrzebu Mietka. Dom rodzinny w Dzbeninie i stary sad



16 września 2006 roku, nadanie Szkole Podstawowej w Dzbeninie imienia Mieczysława Czychowskiego i sztandaru – przy nim dyrektor szkoły Agnieszka Załęska

ISBN 978-83-88169-72-4